LB im. W. w Łodzi

Tym, którzy przyczepili się akurat do Łodzi, głosząc, iż jest ona prowincjonalną dziurą. Tym, którzy chcą przenieść się do Warszawy. Tym, którzy marzą o stolicy jako jedynym Colorado w prowincjonalnym morzu. Tym, którzy wybierają się na mały „wyskok" do stolicy i wszystkim tym, którzy zapłacili jeden złoty polski za numer „Odgłosów" — dzieło niniejsze poświęca

AUTOR

(reportaż na str. 3)

odgłosy

nr 28

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok I. ŁÓDŹ, dn. 7 września 1958 r.

Mimo usilnych starań uneonowienia i ureprezentacyjnienia warszawskiej ulicy — zachowała ona swój żywy, ruchliwy charakter. Ciągle jeszcze nie są to arterie wypchane wolno sunącymi samochodami i dostojnie kroczącymi urzędnikami. Na zdjęciu: przeprowadzka.

KOCHANE MIASTECZKO WARSZAWA

Warszawa — „wichrem dziejów gnana i przyszłości nawą" — jak mówi poeta — rozpoczyna swój miesiąc. Jest coś niezwykle wzruszającego w odczuciu przeciętnego Polaka, kiedy myśli o swojej stolicy. Trochę dumy — mimo takich czy innych usterek Warszawa buduje się, rośnie w oczach. Trochę smutku — to bohaterskie miasto tyle razy oblegane, zdobywane, niszczone w ciągu dziejów kryje kości wielu pokoleń, które walczyły z pogardą dla śmierci. Dużo entuzjazmu — bezinteresowna ofiarność społeczeństwa na rzecz stolicy, oddawanie jej wolnych godzin, znane to fakty. Znowu, od czternastu już lat, zjechał do Warszawy Czesław Pankowski, aby cały urlop poświęcić ukochanemu miastu.

Ale — i to także bardzo ważne — jest w tym odczuciu dużo pogody, humoru. Warszawa zaraża uśmiechem, jej mieszkańcy, ci z Targówka, Woli czy Marymontu, zakochani do czerwoności w swoim mieście lubią żart, chętnie patrzą na stolicę z przymrużonym okiem rozumując słusznie, że kto naprawdę kocha, ten może zażartować nawet z rodzinnego miasta.

Naszym łódzkim Czytelnikom oddajemy w ręce taki właśnie typowo warszawski reportaż pisany z przymrużonym okiem, daleki od sztywnego, niejako odświętnego czy oficjalnego spojrzenia. Bezpretensjonalny, trochę kpiarski i przede wszystkim zakochany w naszej stolicy.

PATRZ REPORTAŻ str. 3

Rasowy warszawianin $^1/_3$ czasu przeznaczonego na pracę i $^2/_3$ czasu po pracy spędza w kawiarni. Kawiarń jest co prawda ciągle jeszcze mniej niż warszawiaków, ale zgodnie z oficjalnymi normami na każdego przypada 10 m powierzchni mieszkaniowej i 6 kawiarnianej.

„Pan nie wie, kto ja jestem..."

Ciekawe, że jak Tobie zadadzą pytanie: „Kto Ty jesteś" — odpowiadasz skromnie: „Polak mały". Ale kiedy Ty sam, nie pytany, pragniesz poinformować nieuświadomionego w tym względzie rozmówcę kim jesteś, po zwrocie wprowadzającym „Pan nie wie kto ja jestem" pada: dyrektor „DEFRGIJK-ski", „naczelnik" lub „szwagier milicjanta"...

Naczelnik poczty Walczuk zabił nauczycielkę Lalko. Stało się to we wsi Sądów. Współwiązek między nimi polegał na tym, że ona, czyli Lalko uczyła córeczkę Walczuka, Marię. Sytuacja, stanowiąca kulminację dramatu, rozegrała się na tle faktu, że nauczycielka Lalko postawiła uczennicy Walczuk dwójkę, co nie sprzyjało uzyskaniu przez tę ostatnią promocji do następnej klasy w szkole podstawowej w owym nomen omen Sądowie. Finał zasię dokonany został przy pomocy rewolweru. Strzelając z niego ów naczelnik poczty zabił Marię Lalko i jej jedenastomiesięczną córkę, Jolantę.

W relacji tej historii pominąłem szereg wydarzeń, okoliczności i zgoła awantur, które poprzedziły rewolwerowe strzały, a dla istoty niniejszej historii nie są zbyt istotne. Tych, którzy lubią wszystkie detale takich mrożących krew w żyłach historii odsyłam do prasy codziennej i periodycznej sprzed dziesięciu dni.

Niewątpliwie było to morderstwo w afekcie. Trudno bowiem wyobrazić sobie, by krwiożerczy pocztmistrz przeprowadził sobie jakąkolwiek kalkulację, z której wynikało, że warto zabić nauczycielkę. I sprawa sama w sobie (to znaczy owa dwójka) była błaha i mord nie poprawiał stopnia uczennicy Walczuk. Wszakże i afekt na kamieniu się nie rodzi, tylko musi czymś być uwarunkowany. Trudno sobie wyobrazić istnienie „tak dobrego" ojca, u którego zły stopień córki wywołałby aż tak silny afekt, iż wyładowujący się przy pomocy strzałów oddanych do kobiety i niemowlęcia. Istotniejszej przyczyny tego afektu szukać należy nieco głębiej, a skoro należy — to szukajmy.

Na zasadzie szczególnego układu stosunków w Sądowie kierownik poczty był jak na miejscowe stosunki nie lada personą, czyli używając terminologii afrykańsko-polskiej — kacykiem. I to po raz pierwszy!

(Dokończenie na str. 2)

TADEUSZ GUTKOWSKI

KSR — po raz drugi

Po raz pierwszy było w czerwcu. Różnie było. W zasadzie, które to określenie poza pożyteczną rozciągliwością posiada także właściwości kamuflażowe — konferencje samorządu robotniczego wystartowały pomyślnie. Ta ogólnikowa ocena nie zawiera jednak nic z cudownych przymiotów określenia „w zasadzie". Materiał dowodowy — przygotowanie, przebieg pierwszych sesji, treść uchwał, tok ich realizacji — stwierdza, ponad wszelką wątpliwość, że większość klasy robotniczej pojęła sens KSR i — po drugie — że w większości fabryk konferencje samorządu robotniczego stały się istotnie sejmem załogi, zdolnym do podejmowania odpowiedzialnych i ważnych dla zakładu decyzji. Było to możliwe dlatego, że KSR tylko jako powszechnie obowiązująca forma samorządu robotniczego jest instytucją nową. I d e a KSR natomiast torowała sobie drogę w świadomości klasy robotniczej na długo przed jej sprecyzowaniem w uchwale IV Kongresu Związków Zawodowych. Więcej — torowała sobie drogę t a k ż e w praktyce. W Łódzkich Zakładach Włókien Sztucznych na przykład, już 12 kwietnia br. uchwalono regulamin wspólnych zebrań rady robotniczej, zakładowej i komitetu partyjnego, zakładając m. in., „że odbywać się one powinny przynajmniej raz na kwartał".

Konferencje samorządu robotniczego nie zostały podane do wierzenia, lecz wyrosły z namacalnej potrzeby rozszerzenia i pogłębienia demokracji robotniczej. Brzmi to jak frazes, ale — dalibóg — nie warto poddawać się w tym wypadku wrażeniom akustycznym. Zmiany popaździernikowe położyły trwały fundament pod rozwój samorządu robotniczego, którego najpełniejszym wyrazem może być tylko zespolenie wysiłku w s z y s t k i c h działających w fabryce organizacji robotniczych. Fundamentem tym są rady robotnicze. Rady robotnicze i w koncepcji KSR nie tracą znaczenia, przeciwnie — znaczenie ich jako organu wykonawczego KSR rośnie.

W tym miejscu zagalopowałem się nieco. Przedmiotem niniejszych luźnych i raczej marginesowych rozważań nie jest wprawdzie polityczna i ekonomiczna analiza sytuacji w naszych fabrykach po czerwcowej sesji KSR, wydaje się jednak niezbędne przynajmniej zasygnalizowanie pewnych negatywnych zjawisk, które nakazują wstrzemięźliwość w ocenie pierwszych konferencji samorządu robotniczego. Oto kilka faktów:

W wielu łódzkich zakładach w celu przygotowania materiałów na pierwszą sesję KSR usiłowano powołać specjalną komisję, zdejmując ten obowiązek z rad robotniczych. W niektórych zakładach groziło zupełnie realne niebezpieczeństwo wyeliminowania rad robotniczych poprzez wybór stale urzędującego prezydium KSR. W Zakładach im. Waryńskiego wcale nie pojedyncze głosy wypowiadały się przeciw wyborowi rady robotniczej, bo zastąpi ją konferencja samorządu robotniczego.

Mamy więc tu i ówdzie do czynienia z wyraźnymi tendencjami do pomijania, a nawet likwidacji rad robotniczych. Różne, oczywiście, są źródła tych tendencji: niechęć dyrekcji do „dzielenia się" władzą („jeszcze jeden partner"), obawa części aktywu partyjnego przed utratą wpływów na załogę („bezpartyjni zaczynają rządzić"), a także — i chyba najczęściej — zawiedzione nadzieje załogi na gwałtowną poprawę zarobków („rada nic nie zrobiła"*).

W każdym razie choć tendencje te nie są dominujące, wszakże dają o sobie znać i nieprzezwyciężone mogą zaważyć ujemnie na całym systemie KSR, podważając jego podstawowe ogniwo.

A właśnie znajdujemy się w przededniu drugich sesji KSR.

Dotychczasowe obserwacje i doświadczenie wskazuje, że tajemnica powodzenia sesji tkwi w jej przygotowaniu. Czerwcowej sesji KSR towarzyszył pośpiech, niekiedy uzasadniony, niekiedy zaś wynikający z nadgorliwości lub po prostu z chęci pozbycia się kłopotu. Powierzchowne, nijakie sesje rodziły także uchwały, nie przemyślane i nierealne. Zapobiec takim bezowocnym obradom można tylko przez zaangażowanie c a ł e j załogi w pracach przygotowawczych. Przepis na aktywny choć pośredni udział załogi w sesji KSR i na współautorstwo załogi w uchwałach sesji znamy na razie jeden, dobry i wypróbowany: narady wytwórcze. Mogą być (i dobrze jeśli będą) audycje radiowe, gazetki i transparenty, bębny i fanfary — muszą być: oddziałowe narady wytwórcze. Przecedzą one przez filtr dyskusji wszystkie nasze dzienne sprawy, wyłowią problemy najważniejsze, przyprawią je wnioskami i podadzą na stół konferencyjny. Porządek dzienny niemal gotowy.

Z tym porządkiem bowiem, trzeba wiedzieć, niemały ambaras. Mnogość spraw grozi rozstrzeleniem uwagi, płytkim ich potraktowaniem; więc może dwa — trzy problemy starczą? A tu i CRZZ proponuje i życie wysuwa i przecież specyfiki zakładu pominąć nie wolno. Nie ma ogólnej, jednolitej recepty na idealny porządek dzienny sesji KSR. Nie może być takiej recepty. Rzecz jednak arcyważna: każdy wniesiony pod obrady problem rozważany być musi na tle ogólnej sytuacji w kraju, na tle ogólnych zadań gospodarki narodowej. Na umiejętności wiązania spraw swej fabryki ze sprawami całego kraju zasadza się istota demokracji robotniczej, demokracji socjalistycznej. Zarządzanie krajem poprzez zarządzanie własną fabryką.

I wreszcie realizacja przyjętych uchwał, kontrola ich wykonania. Do kontroli znajdziemy zawsze stu chętnych, cóż jednak po najsprawniejszym systemie kontroli, jeżeli uchwała zobowiązuje personalnika do niezwłocznego uzupełnienia stanu zatrudnienia — jak to głosiła uchwała KSR w Zakładach im. Rewolucji 1905 roku. Może to być godny towarzysz i pełen najlepszych chęci, ale ani niezwłocznie, ani nawet ze zwłoką nie uzupełni luki w zakładzie nowymi tkaczkami i prządkami. Skontroluj, bracie, wykonanie takiej uchwały! Zatem, na pierwszy plan — mądra, przemyślana o r g a n i z a c j a w y k o n a n i a uchwały. Co zaś tyczy kontroli — jeżeli o uchwałach będzie poinformowana dokładnie cała załoga, kontrola spocznie w pewnych rękach.

Z powołaniem konferencji samorządu robotniczego wiążemy niemałe nadzieje. Nie oczekiwaliśmy wiele po pierwszych sesjach KSR. Czas był zbyt krótki. Rzecz jest dopiero w rozruchu.

Jest to jednak ruch w pożądanym kierunku.

*) Zainteresowanych tym ostatnim problemem odsyłam do interesującej pracy J. Kulpińskiej i M. Rokacza, opublikowanej w ostatnim (8) numerze „Nowych Dróg".

NA KRZYŻACKIM POLU KARNYM

czytaj korespondencję na str. 4

ANDRZEJ BOGDAŃSKI

Gdy koszula rodzimej produkcji kurczy się na grzbiecie o 3 numery...

Dużo, bardzo dużo mówiło się i pisało o naszym zacofaniu technicznym, o tym, że z powodu długotrwałego odcięcia od Zachodu straciliśmy łączność z nauką światową i że na skutek tego pozostaliśmy daleko poza krajami kapitalistycznymi. Jest w tym twierdzeniu część prawdy: rzeczywiście przez szereg lat naukowcy nasi nie mieli możności wyjazdu za granicę, bezpośredni kontakt był zerwany. Czy jednak naprawdę byliśmy całkowicie odcięci od Zachodu, czy osławiona „żelazna kurtyna" istotnie odgradzała naszych inżynierów i techników od zdobyczy światowej nauki?

Na podstawie siedmioletniego doświadczenia „z własnego podwórka", tj. Instytutu Włókiennictwa w Łodzi, mogę z całą stanowczością stwierdzić, że nie było tak źle. „Żelazna kurtyna" miała furtkę i to bynajmniej nie wąską. Tą furtką była zagraniczna literatura fachowa, a przede wszystkim ok. 70 (siedemdziesiąt) czasopism technicznych (nie tylko rosyjskich, lecz także amerykańskich, angielskich, niemieckich, francuskich itd. — prawie z całego świata), które przez cały czas rzekomego odcięcia nas od zagranicy napływały regularnie do biblioteki Instytutu Włókiennictwa (a także do innych bibliotek naukowych w Łodzi i w całej Polsce). Z literatury tej mogli i mogą korzystać nadal nie tylko naukowcy z Instytutu Włókiennictwa, ale pracownicy całego przemysłu włókienniczego, młodzież akademicka i w ogóle każdy, kogo interesuje postęp w dziedzinie włókiennictwa.

Mogli — ale nie bardzo chcieli...

Przemysł nie czyta, nie interesuje się w należytym stopniu nowościami. A może to tylko biblioteka Instytutu Włókiennictwa nie cieszy się popularnością wśród pracowników przemysłu? Może lepiej wygląda czytelnictwo „na miejscu", w zakładach pracy? — Niestety, w toku lustracji zakładowych punktów dokumentacyjnych i bibliotek fachowych w zakładach włókienniczych, przeprowadzanych przez pracowników Działu Dokumentacji i Informacji Naukowo-Technicznej Instytutu Włókiennictwa, stwierdzono wielokrotnie, że w fabrykach czytelnictwo „leży". Książek, czasopism technicznych, kart dokumentacyjnych nikt prawie nie czyta.

Pewne zainteresowanie literaturą fachową wykazują młodzi inżynierowie i technicy. Czytają oni czasopisma i książki polskie (korzystaniu z literatury zagranicznej stoi na przeszkodzie słaba niestety znajomość języków obcych wśród ogółu absolwentów naszych uczelni technicznych). Ale już do kadry majsterskiej książki i czasopisma techniczne, nawet polskie, prawie nie docierają. W zakładach brak jest zresztą z reguły wszelkiej propagandy nowości wydawniczych z literatury fachowej. Fundusze na biblioteki nie są wykorzystywane, a dobór książek przypadkowy. W bibliotekach nie ma fachowych sił bibliotekarskich, nawet w dużych zakładach. Np. w ZPB im. Marchlewskiego, gdzie obecnie pracuje już fachowy bibliotekarz, a biblioteka postawiona jest na właściwym poziomie, przez dłuższy czas książki wydawała „panienka" z farbiarni, która przy najlepszych chęciach nikogo zachęcić do czytania, ani podsunąć odpowiedniej lektury nie potrafiła.

Od korzystania z bibliotek odstręcza niekiedy również nieodpowiednia ich lokalizacja jak np. w ZPW im. Reymonta, gdzie do pomieszczonej w głębi fabrycznego podwórza czytelni ludzie bali się chodzić, nie chcąc narażać się na podejrzenie o chęć kradzieży.

Dyrektorzy zakładów, naczelni inżynierowie, przewodniczący zakładowych kół NOT-u, ludzie, którym powinno zależeć na podniesieniu kwalifikacji swojej załogi, przeważnie bibliotekami zakładowymi wcale się nie interesują. W jednym z zakładów przemysłu wełnianego przy podziale funduszu zakładowego dyrektor techniczny wystąpił o przeznaczenie znacznych sum na cele sportowe, a skreślenie dotacji na bibliotekę. Na szczęście robotnicy przegłosowali dyrektora. W zakładach dziewiarskich „Olimpia" technik wynalazczości jest zdania, że „kto chce czytać, to bibliotekę i bibliotekarza sam znajdzie". Niestety, rzeczywistość przeczy twierdzeniu „wynalazczego" technika — ludzi trzeba do czytania zachęcać.

W wielu zakładach pracy bibliotekarze nie otrzymują należnego im za dodatkową czynność wynagrodzenia. Nie otrzymuje ani grosza bibliotekarz w ZPB im. T. Kościuszki, bezpłatnie pracują bibliotekarze w ZPB im. Liebknechta, ZPW im. Kasprzaka, ZPW im. Niedzielskiego i in. Nawet bibliotekarz ZPW im. Sierżana w Białymstoku, gdzie księgozbiór liczy ponad 1000 pozycji, pełni swe czynności „honorowo".

Czy nie opłacani pracownicy zawsze dobrze wywiązują się ze swoich obowiązków? Trudno w to uwierzyć...

A przecież zarządzenie ministerstwa wyraźnie mówi, że w bibliotekach liczących ponad 100 książek, bibliotekarz pełniący swą funkcję jako zajęcie dodatkowe powinien otrzymywać wynagrodzenie w wysokości do 300 zł miesięcznie, tam zaś gdzie ilość książek przekracza 500 należy przewidzieć pełny etat.

Przez pewien czas trochę lepiej prosperowały biblioteki fachowe przy Klubach Racjonalizacji i Techniki. Taką dobrą bibliotekę miały na przykład ZPB im. Dzierżyńskiego — dobra obsługa, dogodne położenie, wejście od ulicy. Niestety obecnie działalność Klubów prawie zupełnie zamarła, a czytelnictwo upadło.

W rezultacie takiego stanu rzeczy książki, czasopisma techniczne stają się w większości zakładów niepotrzebnym balastem. Aby się go pozbyć, redukuje się niekiedy etat bibliotekarza (jak w zeszłym roku w ZPB im. T. Kościuszki) i zamyka księgozbiór pod klucz.

Brak zainteresowania literaturą, niechęć do „nowinkarstwa" większości naszych inżynierów i techników odbija się oczywiście na jakości produkcji. Odczuwamy to później wszyscy dosłownie na własnej skórze (np. gdy koszula polskiej produkcji kurczy się nam na grzbiecie o trzy numery, chociaż za granicą zagadnienie kurczliwości tkanin dawno już zostało rozwiązane). A ile idzie na marne wysiłków naszych racjonalizatorów, wywalających przysłowiowe otwarte drzwi w niepotrzebnej pracy nad „wynalazkami", które gdzie indziej złożono już do lamusa jako przestarzałe. Przecież w wielu wypadkach wystarczyłoby zajrzeć do kartoteki dokumentacyjnej Instytutu Włókiennictwa czy zakładowego punktu dokumentacyjnego, aby dowiedzieć się, jak, kiedy, przez kogo dane zagadnienie było omawiane lub — rozwiązane.

Postęp techniczny w oderwaniu od reszty świata nie jest możliwy. Aby jednak śledzić najnowsze zdobycze techniki, nie zawsze trzeba wyjeżdżać na Zachód — niekiedy wystarczy wziąć do ręki książkę lub czasopismo. Trzeba tylko chcieć — no i rozwiązać nareszcie zagadnienie fabrycznych bibliotek fachowych. Być może, że nie wszędzie są one potrzebne, być może, że pracownicy mniejszych zakładów mogliby korzystać z sąsiednich większych bibliotek. Ministerstwo Przemysłu Lekkiego powinno jednak ustalić wreszcie sieć tych bibliotek, „ustawić" je jakoś organizacyjnie — chyba najlepiej byłoby w tzw. pionie technicznym (do tej pory jest bardzo różnie), no i „nacisnąć" fabryki, by bibliotekarzom płaciły.

Na zakończenie parę (wiarygodnych!) liczb. W zakładach podległych CZP Wełnianego—Północ z księgozbiorów fachowych korzysta 1,8% załóg, w zakładach wełnianych Południa (Bielsko) — 4,0%. W przemyśle bawełnianym literaturą fachową interesuje się około 2,6% ogółu zatrudnionych. Najchętniej dokształcają się energetycy; produkcja (przędzalnicy, tkacze) zajmuje wśród czytających drugie miejsce, pracownicy warsztatów — trzecie.

„Pan nie wie, kto ja jestem..."

(Dokończenie ze str. 1)

w dziejach zdarza mu się, iż osoba niżej odeń postawiona — nauczycielka Lalko, nie tylko ośmiela się obdarzyć dwójką jego „krew z krwi, kość z kości córkę", ale i mimo wszelakich „nacisków" obstaje przy swojej dwójkowej decyzji. W takiej to sytuacji sprawa „złamania" nauczycielki staje się kwestią prestiżową, ambicjonalną („Pani nie wie kto ja jestem"). Wezwane na pomoc powiatowe moce też zawodzą. Egzamin komisyjny nic nie daje. Ignorancja Walczukówny jest zbyt wymowna.

Tymczasem historia uczy, że raz podważony autorytet podważonym jest bezpowrotnie. Że raz zachwiana pozycja społeczna nie uzyskuje już na powrót atrybutu monolitości. Widocznie papa Walczuk lepiej zna historię od swojej córeczki, która z tego to właśnie przedmiotu dostała historyczną „lufę". Naczelnik poczty dobywa rewolweru. W robocie jest już bezprzenośna, prawdziwa lufa.

Walczuk w swoim szale przecie trochę rozumuje. A sprawa pozycji społecznej, ściślej jej zachowania jest już tą kwestią, która dla Walczuka warta jest krwi. Bo nikt już — wie on o tym — nie będzie drżeć przed dzierżymordą, któremu choć raz ktoś zwycięsko się przeciwstawił. Miejsce na szczycie sądowskiej hierarchii społecznej, niedosięgalność i zdolność do rozsiewania strachu są zniweczone, przekreślone. O to pobudzić już może mordercze afekty! Nie ma bowiem w życiu ważniejszej rzeczy niż owa pozycja społeczna. Jak przekreślamy — to wszystko. Walczuk dobywa więc broni by — nasermater — choćby i po raz ostatni pokazać „kto ja jestem".

* * *

O ile mnie pamięć nie zawodzi w dziedzinie tejże historii, z której Walczukówna dostała dwóję, kiedyś ludzie dzielili się na tych, co dodawali przed nazwiskiem arystokratyczny tytuł i tych, co mogli tylko wybąkać imię jakiegoś świętego. Dziś znowu dzielą się na tych, co po formule „Pan nie wie kto ja jestem" mają coś do dodania i tych, co nie mają do dodania nic. W świecie, w którym pieniądz daremnie trudzi się, by zdobyć utracone znaczenie, magiczne słowa „dyrektor", „naczelnik", „szwagier milicjanta" mają zastępczą moc wyróżniania właściciela spośród masy ludzkiej, określając rzecz dla wszystkich nas dziś w życiu najważniejszą — tak zwaną „pozycję społeczną". (Sytuacja zaś o tyle nie jest zła, że istnieje mnogość dyrektorów, naczelników, milicjantów, którzy są posiadaczami mnóstwa sióstr produkujących „szwagrów milicjantów", ci z kolei mają kuzynów... i jakoś to idzie).

Dobrze, powiecie. Wiemy, wiemy. Tylko do czego zmierza Belfer? Czyżby był brzydkim anarchistą, postulującym tzw. „urawniłowkę", zniesienie wszelkiej hierarchizacji społeczeństwa, nieodzownie tworzącej instytucje „pozycji społecznej" lepszej, gorszej, bardzo dobrej lub zgoła bardzo złej?

Broń mnie Boże nie tylko od takich myśli, ale, co ważniejsze, od takich posądzeń. Myślę tylko sobie skromnie jakby to było pięknie, gdyby atrybuty „pozycji społecznej" ograniczały się do terenu zawodowego, to znaczy gdyby naczelnik poczty był tam tylko władcą, postrachem a nawet kacykiem (niech mu by tam), a nie szerzej, gdyby władztwo jego nie zawadzało o królestwo odpowiedniego kacyka szkolnego. Gdyby dalej sprawy te nie ważyły w normalnych, „pozasłużbowych" stosunkach międzyludzkich, gdyby Marysia Walczuk była tylko Marysią Walczuk, a nie „córką t e g o Walczuka", gdyby nikt komu nadepna w tramwaju na odcisk nie krzyczał „Pan nie wie kto ja jestem", a to wychodząc z założenia, że wszystkie odciski są sobie równe, gdyby wreszcie wszyscy zrozumieli, że zawołanie „Pan nie wie, kto ja jestem — Człowiek" brzmi (jakby to z tym człowieczeństwem nie było) dumniej niż „dyrektor", „naczelnik", „szwagier milicjanta".

BELFER

(tj. Człowiek, a l e kuzyn dyrektora generalnego, znajomy trzech wiceministrów, i w prasie też może obsmarować).

KOCHANE MIASTECZKO WARSZAWA

Tekst – BOGUMIŁ BRECHTA
Zdjęcia – KONSTANTY JAROCHOWSKI

Warszawa leży nad rzeką Wisłą. Warszawa jest stolicą Polski. Obejmuje ona swymi granicami kilkadziesiąt wsi, jedno przedmieście zwane Pragą i jedno miasteczko, zwane Warszawą właściwą (w odróżnieniu do Warszawy Wielkiej). Warszawa stale się powiększa i jej ludność stale rośnie, a to przez przyłączanie do niej coraz to nowych wsi.

Ogółem obszary uprawne w m. st. Warszawie liczą 12.171 ha. W stołecznym mieście szczególnie dobrze obradza żyto, owies, buraki cukrowe, kartofle i warzywa. (Dane St. Rady Narod.). Warszawa jako taka składa się z ulic, domów i podwórek. Ulice liczą łącznie 2.230 km. W tym 45 proc. jest wybrukowanych, lub wyasfaltowanych, a 55 proc. patriotycznie pokrywa nasza ziemia ojczysta. Ponad dwie trzecie tubylców korzysta z kanalizacji i wodociągów. Ale za to tylko 10 proc. mieszkańców nie ma w domu światła elektrycznego, które z powodzeniem zastępuje im lampa naftowa.

Życie Warszawy co tydzień opisuje umyślny tygodnik pt. „Stolica", który co tydzień też zamieszcza nowy projekt architektoniczny. Czasem jest to nowa dzielnica, czasem kilka dzielnic, czasem zaś tylko jeden dom. Raz na rok coś z tego się wybiera i przy sprzyjających okolicznościach buduje. Projekty tym różnią się od gotowych już domów, że te pierwsze się podziwia, a te drugie oklina. Domy mają jednak tę wyższość nad projektami, że można w nich mieszkać. Największą karierę w stolicy zrobi ten, kto wymyśli takie projekty, w których można już od razu mieszkać.

W 1950 r. było 193.645 mieszkań o czterystu czterech tysiącach izb. W każdej z nich mieszkały średnio 2,1 osoby. Od tego czasu przybyło tyle mieszkań, izb i ludzi, że się już ich nie liczy. (Brak danych). W każdym razie z tą jedną dziesiątą człowieka w pokoju już się nie mieszka. Odsetek ten jest de facto jeszcze mniejszy, ponieważ 6.215 osób przynajmniej raz do roku nocuje w Izbie Wytrzeźwień.

Warszawa jest miastem nobliwym. Rocznie bywa tu (wg danych z 1956 r.) podpaleń 21, zabójstw 28, kradzieży 17.968, rozbojów 534 itd. Wynika stąd, że i sami warszawianie są narodem spokojnym i chętniej kradną, niż np. podpalają. Przede wszystkim jednak kochają swoje miasto — jak zresztą i pozostali obywatele kraju. Kochali je, kiedy leżało w gruzach, kochają i dziś, kiedy próbują korzystać z miejskiej komunikacji. Taki już tu mieszka naród.

Życie nocne stolicy w dzień najłatwiej jest spotkać w kawiarni, w Centralnym nomen omen Domu Towarowym. W nocy natomiast rozmaicie. Najłatwiej wszakże na rogu Alei Jerozolimskich i Marszałkowskiej (ściślej: vis a vis pawilonu handlowego „Śródmieście"). Nasilenia życia nocnego statystyki nie wykazują.

Najciekawszą i najduszniejszą knajpą nocną był „Manekin". (Wejście za okazaniem legitymacji związku twórczego). Ostatnio

DOKOŃCZENIE str. 5

W Warszawie wybudowano dziesiątki luksusowych sklepów z marmuru, szkła, aluminium i jedwabi. Handel poza tym odbywa się na targowiskach i na ulicy. Bez marmurów, aluminium i jedwabi. Ale za to tu bywają towary.

(patrz zdjęcie u góry)

W Warszawie jest trochę aut, które częściej zderzają się niż nie. Stanowi to wielką radość dla przechodniów. Oczywiście dla nie przejechanych.

ALEKSANDRÓW
MIEJSCOWOŚĆ
EUROPEJSKA

CZYTAJ REPORTAŻ na str. 10

POCZĄTEK I KONIEC „WIELKIEJ DROGI CESARSTWA"

Część XIX

OSCAR LINDAY

Tajniki wywiadów, gabinetów i wydarzeń XX wieku

KRWAWE ŻNIWA NA OKINAWIE

Dżungla płonie. — „Różowy Smok". — Śmierć za śmierć. — Zdrowy rozsądek i mistyka. — „Yamato" tonie. — Agonia.

KOMUNIKATY RADIA AMERYKAŃSKIEGO:

1 kwietnia 1945 r.: „Nasze oddziały desantowe wylądowały na Okinawie — największej wyspie japońskiego archipelagu Riu-Kiu".

30 kwietnia: „Na Okinawie toczą się ciężkie walki. Oddziały nasze zdobyły pasmo ważnych wzgórz i posuwają się systematycznie naprzód".

31 maja: „Walki na Okinawie trwają w dalszym ciągu. Obrońcy japońscy stawiają rozpaczliwy opór".

21 czerwca: „W dniu dzisiejszym zniszczono ostatnie gniazda japońskiego oporu na Okinawie. Oblicza się, że w czasie 82 dni walk na wyspie nieprzyjaciel stracił 87.343 zabitych. 7 tysięcy rannych Japończyków dostało się do niewoli".

Strat własnych nie podano. Uzupełniamy: 39 tysięcy. Okinawa ma 120 km długości i 6 do 15 km szerokości.

* * *

29 marca 1945 r. Pięć zespołów floty amerykańskiej zaciska szczelny pierścień wokół wyspy. Dżungla Okinawy płonie. Kłęby burego dymu rozszarpują błyski eksplozji bomb. Wróg milczy uparcie. Nie zdradza stanowisk. W „lisich jamach", w wykutych w skałach schronach czai się 100-tysięczna armia generała Ushijimy. Są w pogotowiu. Czekają.

Admirał Nimitz, szef floty amerykańskiej na Pacyfiku, osobiście kieruje akcją. Z nim — milion żołnierzy. Przeciwko niemu — strategiczny klucz Japonii: tu krzyżują się wszystkie szlaki komunikacyjne kraju kwitnącej wiśni.

Bitwa będzie ciężka. Lądowanie trzeba przeprowadzić szybko, sprawnie. Podstępem...

30 marca wydzielona grupa ciężkich jednostek podpływa w pobliże północno - zachodniego brzegu wyspy. Markują atak. Nocą kładą ciężki ogniowy wał na plażę. Podpływają statki desantowe. Puste... Ushijima przerzuca rezerwy, gotów do odparcia fali piechoty. Na próżno. Desant nie następuje. Rozmyślili się, sądzi Ushijima.

Nie, nie rozmyślili się. Nocą 31 marca dwakroć silniejszy zespół kieruje się na przeciwległy kraniec Okinawy. Zapora ogniowa jest krótka, potężna. O 7.30 idą do brzegu barki. Wylądowali bez strat. 180 tysięcy ludzi. Po raz trzeci desant w Normandii zdystansowany.

Tak zaczęła się bitwa o Okinawę.

* * *

Admirał Ito opuszcza gmach admiralicji z uczuciem lęku o losy kraju. Jest źle. Bardzo źle. Przez pierwsze cztery dni walki żołnierze Ushijimy wystrzelali 30 proc. amunicji. To nic, że natarcie amerykańskie utknęło na zwałach trupów. Ale czym będą zabijać Yankesów, gdy wystrzelają ostatnie ładunki?... Admirał Ito nie wierzy w powodzenie operacji „Różowy Smok". Przed miesiącem sam był jej inicjatorem, ale przecież nie w takim układzie sił. Przewidywał na przeprowadzenie tej operacji użycie całej japońskiej floty. Tylko taka siła mogła zagwarantować rozerwanie pierścienia blokady i przeprowadzenie skutecznych kontrataków na wyspie po rozpoznaniu siły desantowej wroga. Tymczasem oddano mu do dyspozycji mizerną część i tak już słabej floty. Mizerną część... Kwatermistrz admiralicji rozłożył beznadziejnie ręce: „Brak paliwa!" Tak, to był argument ostateczny, nie podlegający dyskusji. Słona morska woda nie poruszy dieslowskich silników. Nawet za sprawą bogów!

Przecież operacja „Różowy Smok" to nic nowego. Ito snuje wspomnienia. Taką samą przeprowadzono pod Saipanem, pod Leyte i pod Iwo-Jimą. Wszystkie skończyły się porażką. Wszystkie. Choć każda z nich była najwyższą stawką, na jaką mogła sobie pozwolić admiralicja, wówczas jeszcze nie skrępowana brakiem paliwa. A teraz? Nędzne echo tamtych akordów... Aha, „Yamato"! Tak, admiralicja jest zahypnotyzowana „Yamato"! Ten kolos, superpancernik, dwa razy większy od największego amerykańskiego pancernika ma być wykonawcą operacji „Różowy Smok". Admiralicja wierzy w nieśmiertelność „Yamato". To w paszczach jego dział spacerowały dzieci książąt krwi, uświęcając go swym prawie boskim dotykiem. To z jego pokładu 5 grudnia 1941 r. admirał Yamamoto posłał dla Nagumo historyczny rozkaz: „Wspinajcie się na wysoką górę". A potem runęły bomby na Pearl Harbor i przyszła radość, słodki był smak triumfu. Ale to było bardzo dawno... Góra okazała się zbyt wysoka. Nie doszli do szczytu. Spadają w przepaść... Wspomnienia dławią gardło. Ito pamięta atmosferę narad admiralicji. Mówiło się kiedyś: „zwyciężyliśmy". Potem: „zwyciężyłny". Jeszcze potem: „musimy zwyciężyć". Teraz: „nie skapitulujemy".

Nie! Nie skapitulujemy!

* * *

Krew obrońców odmierza się w mensurze. Oko za oko! Śmierć za śmierć! Za naszymi plecami pałac boskiego Tenno! Trupy gęsto padają po obu stronach.

Generał Ushijima jest zaniepokojony. Tu przecież nie chodzi o demonstrację heroizmu. Na demonstracje można było sobie pozwalać na Guadalcanal, na Saipanie, nawet na Iwo-Jimie. To było jeszcze daleko od granic. Ale tu już jest Japonia! Tu nie można przeprowadzać samobójczych kontrataków, które siały trwogę wśród bezbożnych Yankesów, niezdolnych pojąć ich miłości ojczyzny i cesarza. Tu każde życie musi być sprzedane co najmniej w równej walucie. Tu trzeba mocno, kategorycznie powiedzieć: dość, ani kroku dalej!

Ale jak? W jaki sposób? Amunicji starczy na 10 dni...

Ushijima wzywa oficera łącznikowego floty.

— Co z operacją „Różowy Smok"? — Głos generała jest niecierpliwy, podniecony. — Bez przerwania blokady stać nas będzie tylko na śmierć. Czy tylko o tym myślą w Tokyo? Jeżeli tak... — Ushijima jest bliski bluźnierstwa.

Komandor słucha w skupieniu. Pochyla głowę. Milczy. Rozumie.

Tego dnia, 6 kwietnia, nad głowami obrońców Okinawy przelatują setki srebrnych cygar „Jinrai", żywych, latających bomb. To nowoczesny sprzęt samobójców „Kamikaze". Jest ich więcej niż kiedykolwiek. Artyleria przeciwlotnicza na okrętach Yankesów zachłystuje się spazmatycznym ogniem obronnym. „Jinrai" eksplodują w powietrzu, walą się bezwładnie w ocean. Ale są i takie, które trafiają w cel... Dużo jest takich. Tonie kilkanaście okrętów, ginie 8 tysięcy marynarzy.

To był czarny dzień marynarki amerykańskiej. Jednak siła jej wielekroć przewyższała wysokość strat. Rozpacz może wiele, ale nie zdoła wszystkiego. Nie zastąpi siły.

Wieczorem u generała Ushijimy melduje się oficer łącznikowy floty:

— Komunikuję, panie, że flota ruszyła na odsiecz. Operacja „Różowy Smok" jest rozpoczęta...

* * *

Admirał Ito stoi na pomoście pancernika „Yamato". Kadłub jest szary jak nisko zalegające chmury, jak dni, które nadeszły dla kraju wschodzącego słońca. „Yamato", dwa krążowniki, osiem niszczycieli. Oto operacja „Różowy Smok". Oto wszystko, na co mogła się zdobyć dumna marynarka cesarska w dniu grozy, w dniu, w którym stała się ostatnim puklerzem kraju. Tak, to wszystko. Admirał Toyoda, szef marynarki wojennej, zdecydował w ostatniej chwili wycofać z akcji lotniskowiec.

— Jak to, admirale, bez osłony lotniczej? — próbował interweniować Ito.

— Tak. A właściwie, nie zupełnie tak. Pogoda na najbliższe dni wyklucza możliwość zastosowania samolotów. Pan rozumie, w tej sytuacji nie możemy ryzykować...

— Czyż to nie jest większe ryzyko? — Ito był uparty.

— Naszym zdaniem, nie! Pogoda będzie na pewno zła. W tej sytuacji lotniskowiec stanie się dla pana bezużytecznym balastem, celem amerykańskich pocisków. Zdecydowaliśmy.

Zdecydowali. Zamówili złą pogodę, wysłali boski wiatr — Kamikaze, zahypnotyzowali się nieśmiertelnością „Yamato". Wierzyli w cud. Tylko cud mógł ich uratować.

Przez trzy lata chytrze działali zgodnie ze zdrowym rozsądkiem. Nie można im było tego zdrowego rozsądku odmówić w całej ich imperialnej koncepcji. Logicznym jego następstwem był atak na Pearl Harbor i nie mające końca pasmo zwycięstw. Logicznie, ze strategiczną znajomością rzeczy bronili się długo, wytrwale, skutecznie na Wyspach Salomona i Nowej Gwinei. Gdy zdrowy rozsądek obrócił się przeciwko nim, nie zrezygnowali. Odwołali się do mistyki. Wystąpili przeciwko rozsądkowi. Zaczęli robić głupstwa.

Operacja „Różowy Smok" była rozpoczęta...

* * *

Samoloty rozpoznawcze V Floty admirała Spruance'a wracają już na lotniskowiec. Nagle, w prześwicie wśród gęstych chmur migają stalowe kadłuby o charakterystycznej linii. Zawracają. Lokalizują dokładnie. Nie ma wątpliwości.

Radiotelegrafista przekazuje szyfrem meldunek: „Długość... Szerokość... Jedenaście jednostek, w tym jedna wysokiej klasy. Prawdopodobnie „Yamato". Potem krótki komentarz od dowódcy eskadry: „Kurs — Okinawa. Sprawdzałem dwukrotnie, jakkolwiek nie chce mi się w to wierzyć".

Admirał Spruance też nie chce wierzyć. Ale pamięta wczorajszy dzień, czarny dzień zmasowanego ataku „Kamikaze".

— Oni pewnie liczą na to, że szaleńcy rozbili wczoraj naszą flotę — zwraca się do stojącego obok adiutanta.

Uśmiech admirała jest gorzki, ale nie pozbawiony satysfakcji.

— Jak oni mogą jeszcze na cokolwiek liczyć... — Krótka refleksja i polecenie: — Przesunąć w zlokalizowaną strefę osiem lotniskowców. Nie. Sześć. Tylko grupę admirała Radfordta. To wystarczy.

Jeszcze jedna lokalizacja. Chmury rzednieją. „Yamato" pluje ogniem obu burt. Potem startuje 150 samolotów torpedowych i 80 nurkujących bombowców. To dopiero pierwsza fala. Atak trwa 35 minut. Tona oba krążowniki i cztery niszczyciele. „Yamato" dostał dziewięć torped i kilkanaście bomb. Pokład płonie. Przechył jest niebezpieczny, ale „Yamato" walczy. Zestrzelił 20 Yankesów. Twarda bestia.

Na pomoście admirał Ito rozważa możliwość odwrotu. Ale nie: nadchodzi druga fala samolotów torpedowych! Idą niziutko, nad samą wodą. Do admirała podbiega oficer z kamizelką ratunkową. Ito odpycha go zniecierpliwionym gestem. Chwyta kurczowo poręcz pancernego pomostu. Eksplozje torped są potężne. Przechył pogłębia się. Podłoga ucieka spod nóg admirała. To koniec. „Yamato" tonie.

Operacja „Różowy Smok" jest zakończona...

* * *

Krwawe żniwa na Okinawie dobiegają końca. Ushijima nie ma amunicji. Przestał być dla Yankesów równorzędnym partnerem. Amunicję zdobywa się w kontratakach. Tak jak na Tarawie, Saipanie, Iwo-Jimie. Okinawa przestała być punktem strategicznym, stała się kolejnym bastionem heroizmu i śmierci. Obrońcy kurczowo trzymają się ostatnich skrawków ziemi, chociaż na terenie zdobytej Okinawy Amerykanie rozbudowują betonowe runwaye dla superfortec. Śpieszą się. Z Iwo-Jimy jest 1.400 km do serca Japonii. Z Okinawy tylko 600. Superfortece będą mogły latać trzy razy na dobę... Zanim padają ostatni żołnierze Ushijimy, z Okinawy startują już pierwsze superfortece. Obrona nie ma sensu. A jednak walczą!

Generał Doolittle, szef lotnictwa strategicznego USA, oświadcza: „Wszystko wskazuje, że Japonia zamierza kontynuować beznadziejny opór. Przeciwko Niemcom użyliśmy 2.400 ciężkich bombowców. Przeciwko Japonii kierujemy tysiące superfortec".

To już jest agonia.

Za tydzień:

Superforteca „Enola Bay" wystartowała...

EDWARD MARTUSZEWSKI

KORESPONDECJA Z OLSZTYŃSKIEGO

Na krzyżackim polu „karnym"

W ostatnich dniach sierpnia spotkałem w Państwowym Gospodarstwie Rolnym Grunwald grupę młodych chłopców. Okazało się, że to uczniowie łódzkiego Technikum Budowy Maszyn z ulicy Sienkiewicza. Szykowali się właśnie do wyjazdu po paru tygodniach pracy w PGR.

Nawiązałem z nimi rozmowę. Naturalnie, widzieli pomnik grunwaldzki i kamień wielkiego mistrza... Tylko dlaczego ten pomnik taki skromny?

Byli niemile zaskoczeni, gdy dowiedzieli się, że na tej łączce pod laskiem, gdzie w 1954 roku postawiliśmy ów „skromny" (mówiąc delikatnie) pomnik, w ogóle bitwy nie było, a toczyła się ona zupełnie gdzie indziej.

Chłopcy nie kryli już swego zawiedzenia. Mówili, że inaczej sobie pole grunwaldzkie wyobrażali. Dlaczego nie ma przewodników?

Tak, postawmy kropkę nad i. Co jakiś czas — z takiego lub innego powodu urządza się pod pomnikiem grunwaldzkim uroczystości. Z wszystkich dotychczasowych imprez masowych tegoroczna była niewątpliwie najbardziej udana. Zaopatrzenie nie szwankowało i choć np. szumnie nazwane „lody grunwaldzkie" produkcji Gminnej Spółdzielni w Olsztynku zostały strasznie „ochrzczone"... wodą, to jednak głodnych nie było. Nieco gorzej przedstawiały się połączenia komunikacyjne, zwłaszcza po południu. Ale i na tym „odcinku" organizacji imprezy grunwaldzkiej nastąpiła wyraźna poprawa. Wbrew zapowiedziom PHM pogoda dopisała — a więc majówka się udała.

Jak dotychczas urządzaliśmy na polach Grunwaldu majówki (po których zostały na łączce skorupki skonsumowanych jajek na twardo, papiery i butelki, w lasku zaś — wiadomo co: dla majówek bowiem nigdzie na świecie nie buduje się szaletów), albo też wybieraliśmy się — indywidualnie czy też grupowo — jak na drugi koniec świata. Zarówno uczestnicy majówek (połączonych z referatami i tym podobnymi ceremoniami) jak i zwiedzający pole bez specjalnej, oficjalnej okazji nie mają na ogół pojęcia o tym, że znajdują się — jeśliby pobojowisko porównać do boiska piłki nożnej — na krzyżackim polu karnym, daleko od „linii środkowej", na której rozpoczął się — i toczył — krwawy bój.

Zwiedzający ograniczają się w swych spekulacjach na temat „jak toczyła się bitwa" do owej łączki, lasku i przyległych kartoflisk. Jeśli zaś przejdą nieco dalej w kierunku wschodnim znajdują w zagajniku kamień wielkiego mistrza (w rzeczywistości jest to kamień jagiellowy — ale to już zupełnie inna historia) i wtedy wszystkie ich kombinacje „rekonstruujące historię" biorą w łeb. No, bo jeśli wielki mistrz zginął na wschód od naszego pomnika, to znaczy, że polskie wojska stały po stronie zachodniej...

W umysłach biednych patriotów mieszają się wówczas wszystkie kierunki świata i boju. Zamieszanie powiększają na majówkach przypadkowi przewodnicy — mądrale, którzy z mniejszym lub większym tupetem opowiadają — niczym „naoczni świadkowie" — „tu stali Litwini, a tam Polacy, stamtąd atakował Krzyżacy..."

Dlaczego nikt na polu grunwaldzkim nie postawił dotychczas — choćby na łączce przy pomniku — dużej mapy, nakrytej daszkiem?

Dlatego, bo taka mapa orientacyjna, z zaznaczonymi pozycjami i elementami bitwy, wywoływałaby gniew, psuła krew. Zwiedzający zrozumieliby wówczas, że powinni byli pojechać najpierw do Ulnowa nad jeziorem Łubień, gdzie był obóz Jagiełły, że stamtąd powinni posuwać się — jak niegdyś Jagiełło — w stronę Lodwigowa, gdzie wrzał najbardziej zacięty bój, a potem dopiero w stronę Grunwalda, gdzie znajdował się obóz krzyżacki...

Chcąc jednak umożliwić zwiedzanie pola grunwaldzkiego w jego „naturalnym ciągu", to jest z pozycji polskich na pozycje krzyżackie, należałoby przebudować w południowej części powiatu ostródzkiego sieć dróg dojazdowych i pieszych, umożliwić dojazd do Ulnowa jako punktu wyjściowego.

Jeśli „ujawnimy", że pole grunwaldzkie to nie łączka pod pomnikiem, ale przestrzeń kilkunastu kilometrów kwadratowych, dotychczasowa „koncepcja" zwiedzania pola grunwaldzkiego, polegająca na pokazywaniu źle zlokalizowanego pomnika — stanie się nieaktualna. Zaistnieje też paląca konieczność zorganizowania fachowego przewodnictwa, pobudowania schronisk turystycznych, założenia punktów aprowizacyjnych.

Dziś okolice Grunwaldu są wielką pustynią turystyczną. A „zwiedzanie" historycznego pola to — w 999 wypadkach na 1000 — smętne błądzenie po manowcach...

DALSZY CIĄG ze str. 3

KOCHANE MIASTECZKO WARSZAWA

jednak ta piwnica została zamknięta, gdyż życie nocne żądało tu cen zbyt wygórowanych. Do „Kameralnej" nie można się dostać nawet za okazaniem legitymacji członka rządu. I to nie tylko dlatego, iż jest aktualnie w remoncie. Również ze względu na tłok i pryncypialność personelu. Ale najmilsze mordobicia urządzać zwykło się w „Oazie", „Kaskadzie", „Stolicy" (też gmach CDT — wieczorem życie nocne przenosi się na szóste piętro), „Polonii" — dołku, albo zgoła w kompleksie ulic, stanowiących zachodnie zaplecze Pałacu Kultury. Można tu również zawierać transakcje handlowe, podziwiać walki band wyrostków, oraz stracić portfel i ochotę na powyższe. Transakcje handlowe obejmują pełny asortyment towarów od jabłek po dolary. Tzw. Dziki Zachód ustępuje jednak w pełni Annopolowi.

Po 11 wieczorem Warszawa zamiera. Cierpiący na bezsenność mają do wyboru wspomniane knajpy i Izbę Wytrzeźwień.

Wszystkie teatry rozpoczynają tu spektakle o 19. Ostatnie seanse kinowe inaugurowane są o 20. Kawiarnie zamykane są o 22 lub 23. Po tej godzinie w stołecznym mieście itede można iść na wódkę lub lulu. Wódka kosztuje wtedy już 50 zł ćwiartka, lulu zazwyczaj nic. O wprowadzeniu odwrotnego cennika nikt na razie nie myśli.

Basenów pływackich jest tu jeden (słownie jeden). Przypada więc ponad kilkanaście tysięcy mieszkańców na 1 m² wody. Przy wejściu trzeba zapłacić zł 10, co upoważnia do płacenia dalej za różne basenowe usługi. Jednak już za tę, wymienioną sumę, można opalać się w kostiumie kąpielowym. Jeśli kto lubi bez kostiumu, kosztuje to dodatkowo 5 zł (solarium). Nowy basen miano budować na Polu Mokotowskim, na terenie gdzie stoi jakiś barak mieszczący zarząd tej przyszłej budowy. Nie można go jednak budować, bo barak mający pomieścić zarząd budowy zajęty został przez dzikich lokatorów.

Wisła nie służy do kąpieli, bo jest niebezpieczna i pełni funkcję miejskiego ścieku. Nad Wisłą nie ma nic. Hula wiatr. Można ją jednak do woli oglądać z mostów.

W niedzielę życie też zamiera. Handel też. Dotychczas otwarty był w te dni Centralny Dom Towarowy. (Patrz — życie nocne w dzień). Wobec tego podjęto intensywną kampanię prasową, że bardzo dobrze, że jest otwarty, bo powinien być otwarty. W wyniku owej kampanii CDT jest odtąd w niedziele zamknięty.

Życie stolicy najpełniej oddaje „Express Wieczorny". Organ ten donosi, że:

— konduktor tramwaju nr 25 F. Dziubiński, pasażerkę, która położyła teczkę na jego siedzeniu, dotkliwie pokąsał. Poszkodowaną opatrzono w szpitalu nr 4. Orzeczenie lekarskie: — dotkliwe rany kąsane.

— w „Rycerskiej" zdarzył się wypadek, iż kelner odmówił pijakowi podania wódki. Wywiad z kelnerem zamieściła prasa stołeczna nazajutrz.

Poza tym MO doprowadziła tu człowieka w stanie nietrzeźwym, owiniętego w prześcieradło. W owo prześcieradło owinęła go żona na żądanie organów MO, które nie chciały prowadzić go nago przez miasto. Zatrzymany nudysta dostał kuflem w twarz, poza tym miał 18 ran tłuczonych i ciętych, zdartą brew, posiekane wargi i urwany czubek nosa.

Ponadto rzeczony „Express" donosi, iż poszukuje sarenki, która zginęła z ogródka jordanowskiego na Wawelskiej, że szkoła tańca Stołecznego Domu Kultury wznawia działalność. Opłata za kurs: mężczyźni zł 120, kobiety 30 zł. (Za co?) Że nawet zegarynka źle podaje godzinę i że windy Pałacu Kultury i Nauki przebyły już łączną odległość równą dwunastokrotnemu obwodowi kuli ziemskiej.

Wreszcie cała prasa warszawska codzienna, tygodniowa, literacka podaje, że w stolicy coraz więcej jest żmij, które zagnieździły się na ulicy Sędziowskiej, że żmije rozwijają się i mnożą pomyślnie, że nie ma instancji ani instytucji, która by je zlikwidowała, bo nie leży to w niczyich kompetencjach, że jedną złapał dozorca domu, drugą reporter „Expressu" za specjalne honorarium, ale — zapytuje prasa — co z resztą żmij będzie?

Dlatego też (to było celem niniejszego dzieła!) apeluję do braci łodzian, miast wzdychać do Warszawy, wyjeżdżać do Warszawy i mieć kompleksy na tle Warszawy, pomóżmy ukochanej stolicy. Zorganizujmy krucjatę przeciwko żmijom. Wytępmy je bohatersko. Będzie to nasz wkład w dzieło...

W Warszawie pieczołowicie konserwowany jest ruiniasty murek — pozostałość po ś. p. Zamku Królewskim. Warszawiacy chcą go koniecznie odbudować. Jak już wydadzą te kilkaset milionów złotych będą wzorem paryżan, wiedeńczyków itd. martwić się co z tym fantem zrobić. Nie wykluczone więc, że po odbudowaniu zamku wskrzesi się u nas monarchię — żeby się nie marnował.

Po 11 wieczorem na ulicach zostają pijacy i milicjanci. Ulica przybiera więc rodzimy charakter: wszyscy pijacy znają się nawzajem i wszyscy milicjanci znają się nawzajem, poza tym wszyscy pijacy znają wszystkich milicjantów i na odwrót.

Warszawa, to, jak wielokrotnie podkreślałem, sama wielkomiejskość i Europa. Plakaty zapowiadają wybory Miss Polonii i kursy księgowości dla pozostałych dziewcząt, po ulicach zaś mkną potrącając bańki z mlekiem wspaniałe samochody z barwnymi reklamami, jakich nie powstydziłby się Paryż (Prima Cola, Aperitif), na których malowane wrota gapi się niejedno... dziewczę.

odgłosy str. 5

WŁODZIMIERZ KRYSIŃSKI

PROGRAM ZMIENNA RZECZ

Pisanie o programach szkolnych języka polskiego jest rzeczą niewdzięczną, głównie z tej przyczyny, że trudno w tej sprawie każdemu dogodzić.

Można jednak sprowadzić zagadnienie do stworzenia programu idealnego, programu takiego, w którym proporcjonalnie do swojej ważności i znaczenia, każdy okres literatury, czy też każda wybitna indywidualność pisarska, zyskałyby należyty odpowiednik w zestawie lektury.

I właśnie tutaj zaczynają się trudności. Pół biedy np. z tzw. trzema czy czterema wieszczami (trzeba przyznać, że to określenie się przeżywa). Trudności zaczynają się wtedy, gdy wkraczamy w gąszcz współczesnej literatury. Sprawy te są trudne przede wszystkim z tej racji, że wiedza o współczesnej literaturze polskiej i nawet obcej istnieje raczej w formie ulotnej, nieusystematyzowanej. O ile mi wiadomo, żaden marksistowski czy marksizujący historyk literatury nie pokusił się o systematyczny wykład z tej dziedziny.

Istnieje owszem dosyć duża ilość pozycji traktujących w oderwaniu poszczególne zjawiska, czy też różnego rodzaju zbiory essejów, jak również skryptów uniwersyteckich, ale nie ma do chwili obecnej niezwykle potrzebnej historii literatury współczesnej.

Oczywiście ten stan rzeczy nie wynika z faktu, że „ktoś nie podoła". Sprawa to niełatwa także i z tej przyczyny, że wiele zjawisk we współczesnej literaturze naszej istnieje przecież w stanie „rozpędu twórczego". Pisanie więc historii literatury, z uwzględnieniem tych zjawisk, byłoby rzeczą niejednokrotnie dość ryzykowną.

Trzeba w tym miejscu zaznaczyć, że cenna przecież i potrzebna „Literatura międzywojenna" R. Matuszewskiego, wydana zresztą już dosyć dawno, nie spełnia z wielu przyczyn swojego zadania.

Sprawa takiego czy innego programu szkolnego to także, w prostej konsekwencji, sprawa takiego czy innego światopoglądu ucznia. To oczywiście truizm. Musimy jednakże pamiętać, że światopogląd jest pojęciem, jeśli wolno tak rzec, dynamicznym, a co za tym idzie, zmiennym. Byłoby więc rzeczą cenną i nawet konieczną, żeby otrzymywał już w chwili kształtowania się, nie powiem gruntowne, bo o takie dosyć trudno w szkole, ale przynajmniej prawdziwe i rzetelne podstawy. Czy było więc rzeczą słuszną, że uczeń klasy VIII analizował poemat W. Woroszylskiego, nie słysząc nic o wierszach Tadeusza Różewicza? Czy jest rzeczą w pełni uzasadnioną, że w programach dla klas licealnych pojawia się aż nadto często nazwisko, znakomitego skądinąd, poety Władysława Broniewskiego, a „List do prezydenta Bieruta" był wierszem Iwaszkiewicza najbardziej w programach szkolnych eksploatowanym?

Taki stan rzeczy dawał zafałszowany i jednostronny obraz literatury współczesnej. Na programach sprzed kilku lat zaciążyły ówczesne kryteria. Te programy to najlepszy obraz stosowanych w owym czasie niezwykłych, specyficznych kryteriów.

Oto fragment z programu nauki języka polskiego w 11-letniej szkole ogólnokształcącej (r. 1951):

...zadaniem nauczyciela jest jednocześnie rozwijanie:

„...przekonania o wyższości gospodarki uspołecznionej krajów socjalistycznych nad gospodarką kapitalistyczną, opartą na wyzysku i krzywdzie społecznej".

Dodajmy do tego, że program nabrzmiały jest specyficzną, jakże znaną terminologią, w której idą w zawody o pierwszeństwo takie przymiotniki, jak ekonomiczny, socjalistyczny, kapitalistyczny itd. Sugestie dotyczące interpretacji czy to poszczególnych okresów, czy to zagadnień bądź poszczególnych pozycji lektury, szły w kierunku zawężania zagadnień do wąskich schematów wulgarnego socjologizmu. Tak więc polonista był historykiem, ekonomistą, planistą, działaczem na spółdzielczej niwie, agitatorem i tylko czasu na literaturę nie stawało.

Opowiadano mi przed kilkoma laty pewien fakt, który wówczas wywołał salwę śmiechu współrozmówców, dzisiaj zaś wydaje mi się przerażający w swojej niezwykłości. Otóż w pewnej szkole przerabiano na lekcjach języka polskiego pewną pozycję literatury obcej — bardzo popularną, bardzo „drętwą" i „produkcyjną". Nauczycielka o wyrafinowanych gustach estety, nie licząc się z programem — co zresztą w mig wyczuli uczniowie — lekceważyła sobie tego rodzaju lekturę. Przerabiała, bo program nakazywał. Gdy doszło do omówienia wyżej wymienionej pozycji, jedna ze zdolniejszych uczennic „na ochotnika" streściła powieść w ten sposób, że świadomie pozmieniała postacie, ich imiona, nazwiska, środowisko, sytuacje — słowem — wymyśliła nową fabułę. Nauczycielka nie zaprotestowała, gdyż — na dobrą sprawę — każda tego typu powieść była kubek w kubek do siebie podobna.

Tego rodzaju stan rzeczy prowadził więc w wielu wypadkach do obniżenia autorytetu nauczyciela, który w gruncie rzeczy nie miał nic nowego do powiedzenia. Wiadomo, każda powieść pomagała w realizacji zadań etapu.

Program jest dokumentem urzędowym, prawnym. Program musi być realizowany przez nauczyciela. Minione, oby bezpowrotnie, programy miały i te minusy, że ograniczały w znacznym dosyć stopniu czasowo nauczyciela. Każdy pisarz miał swoją liczbę godzin. Biada nauczycielowi, który ją przekroczył. Wtedy „nie mieścił się w czasie", a konsekwencje niedługo kazały na siebie czekać. Dodać do tego należy stosunkowo bardzo dużą, sumarycznie biorąc, ilość lektury i stosunkowo niewielką ilość godzin języka polskiego w rocznym wymiarze. Dochodzą do tego jeszcze nienajbłahsze sprawy podręczników szkolnych. Tak więc niewesoło wyglądała sytuacja nauczyciela języka polskiego.

Nowa instrukcja programowa wolna jest już od pustej frazeologii ekonomicznej. Posiada także i te plusy, że nie ogranicza nauczyciela czasowo, przynajmniej w tym sensie, jak to było przedtem. Nowy program stwarza więc pole do popisu dla inwencji i kultury osobistej nauczyciela. Nauczycielowi wolno pewne sprawy zaakcentować, inne nawet pominąć.

Wszelako i nowy program nie jest idealny. Są tutaj sprawy dyskusyjne i sporne, budzące także wśród samych nauczycieli sprzeciw. Sprawa, zdawać by się mogło wciąż aktualna — to objętość, zawartość programu w przeciwstawieniu do czasu przeznaczonego na jego przerobienie. Lektura jest jednak duża, choć, kto wie, czy rzeczywiście załatwia wszystkie wymagające potraktowania zjawiska. Biorę więc to zagadnienie przykładowo. Sprawa doboru lektury ze współczesnej literatury polskiej i obcej. Dlaczego brak pozycji, ot np. J. J. Szczepańskiego, Kornela Filipowicza czy nawet T. Brezy, naturalnie spoza „Uczty Baltazara"? A co ze współczesną naszą literaturą emigracyjną? (Można zaryzykować twierdzenie, że o Lechoniu zaczęło się mówić w szkole dopiero po jego śmiertelnym skoku). Dlaczego nie ma w wykazie lektury żadnej z pozycji, czytanego i lubianego, zdaje się przez młodzież E. Hemingwaya?

Są to wszystko sprawy niebłahe. W związku ze wspomnianą wyżej kwestią rozległości lektury pojawia się normalnym biegiem rzeczy tego rodzaju dylemat: czy należy zmniejszyć ilość lektury, zgodnie z zasadą non multa sed multum, czy też powiększyć rozmiar czasu, poświęcanego na przerobienie materiału? Zapewne istnieją wśród nauczycieli zwolennicy jednego i drugiego poglądu. Już od dłuższego czasu mówi się o przedłużeniu nauki o jeden rok, a więc mielibyśmy szkołę 12-letnią. Jak dotychczas jednak nie wiadomo czy mocno dyskutowany i zdaje się, nie mniej mocno popierany projekt stanie się faktem.

Tymczasem trzeba stwierdzić, że wśród młodzieży przychodzącej na wyższe studia humanistyczne można mówić tylko o nieznacznej poprawie. W dalszym ciągu zdarzają się przypadki dosyć niezwykłe w formułowaniu sądów i zaskakujące nie mniej w odpowiedziach na temat faktów bezspornych, obiektywnych z literatury.

Przesunięcie okresu życia jakiegoś pisarza (niejednokrotnie wybitnego) o trzysta do czterystu lat naprzód lub wstecz jest dosyć częstym zjawiskiem. Do wszystkich, wyżej wymienionych uwag dochodziłoby więc jeszcze zagadnienie wypracowania najlepszych metod dydaktycznych, które pozwoliłyby nauczyć ucznia logicznego myślenia i wyrobiły w nim pewną — konieczną dyscyplinę intelektualną. Kurs logiki i przedmiot, o przywrócenie którego dopomina się wiele trzeźwych głosów, tzn. propedeutyka filozofii mogłyby spełniać bardzo znaczną i potrzebną funkcję w tym względzie.

Obecnie jednak, sygnalizując znaczną poprawę, wypada stwierdzić, że sprawa programów nie jest jeszcze całkowicie załatwiona.

HORACY SAFRIN

Z cyklu:

SPOTKANIA WIEDEŃSKIE

SENNIK EGIPSKI

Czy poza szkołą, dziennikiem „Kurier Wiedeński" i „Strzechą" — staroświecką gospodą, gdzie przy lampce cienkusza spotykało się nasze „uchodźstwo" — istniały inne formy kulturalnego wyżycia się Polaków? Bynajmniej.

A jednak znaleźli się ludzie, którzy za wszelką cenę starali się umilić nam przymusowy pobyt w grodzie Habsburgów. Wodzirejem ich był niejaki Roman Hernicz — poeta, prozaik, dramatopisarz, recytator i impresario w jednej osobie. Badaczom literatury oraz starzejącym się przedstawicielom średniego pokolenia, którzy raczą sobie przypomnieć wierszyki Hernicza z „Wolnych żartów", pragnę podać do wiadomości, że mąż ów miał na swoim sumieniu dwadzieścia kilka pozycji książkowych...

Wychowany w moim rodzinnym mieście — Stanisławowie — w szesnastym roku życia chadzał w czarnej pelerynie i szerokim kapeluszu, spod którego spływały gęste pukle pieczołowicie trefionych włosów. Ogłosił podówczas drukiem tomik wierszy pt. „Bezgwiezdne noce". Jeden z czołowych utworów tego zbiorku zamykał się sześciowierszem:

...Lecz cóż innego przynieść mogę,
ja, co straciłem życia drogę,
ja, który walcząc w życia głuszy
nie mam dziś serca ani duszy,
ja, co straciłem ideały
i jako próchno jestem cały?

To chodzące „próchno" ujawniało jednakowoż niemało sprytu, jeśli chodzi o organizowanie rozrywek kulturalnych dla Polonii wiedeńskiej. Były to literacko bezwartościowe, lecz za to intratne i ze Skarbu Państwa (za pośrednictwem ministra Bilińskiego) szczodrze subwencjonowane imprezy. Nosiły one zazwyczaj tytuły zaczerpnięte z książek pomysłowego autora. Walczyły przy tym o palmę pierwszeństwa nagłówki w rodzaju: „Tęczowa baśń", „Śmiej się, pajacu!" lub „O Polsko, Polsko, ukąpana w krwi!".

Ponieważ „Kurier Wiedeński" — z którym współpracowali między innymi Antoni Chmurski, Edwin Rosenfeld — Jędrkiewicz, Ignacy Nikorowicz, prof. Jakub Geszwind, no i przez dłuższy okres czasu Wł. St. Reymont — nie wpuszczał na swoje łamy utworów Hernicza, tenże poprzysiągł „elitarnemu" dziennikowi krwawą zemstę. Wydawał więc czernią drukarską i jadem ociekające jednodniówki i ulotki, których sam był kolporterem. I tu wchodził w grę bogaty asortyment tytułów, wahający się w granicach między „protestem" woźnego Protazego, a „j'accuse" Emila Zoli. Raz nawet był w obiegu kilkutysięczny nakład ulotki, nad którą widniał sążnisty tytuł: „Pod sąd!".

Z biegiem czasu działalność Hernicza w dziedzinie upowszechniania literatury jęła słabnąć. Sale coraz częściej świeciły pustkami. Niezmordowany Roman zakasał rękawy i pełną parą zabrał się do... pisania książek.

Pewnego razu, wchodząc do kawiarni „Ronacher", zastałem go nad stosem rękopisów i białych kartek papieru. Spojrzał na mnie spode łba i, odchrząknąwszy, oświadczył uroczyście:

— Wiesz, kochany, dziś doprawdy nie mam czasu. Otrzymałem pilne zamówienie. Terminową robotę. Przygotowuję do druku „sennik egipski" dla wydawnictwa Karola Miarki w Cieszynie. I beg your pardon, przepraszam najmocniej. Poza tym — możesz wypić kawę na mój rachunek...

Usiadłem przy sąsiednim stoliku i obserwowałem „człowieka pióra", który w pocie czoła, odgarniając co chwila z lekka już zaniedbane pukle, stawiał na kartkach papieru wyimaginowane słowa i cyfry.

Nagle Roman uniósł wysoko głowę, wlepił we mnie wzrok i spytał z tragicznym gestem:

— Słuchaj, kochany, co oznacza kiełbasa?

— Nieszczęście w rodzinie — odpowiedziałem bez namysłu.

* * *

Drodzy Czytelnicy! Jeśli kiedykolwiek natkniecie się na „sennik egipski" i przeczytacie tam, że widziana we śnie kiełbasa jest równoznaczna z nieszczęściem w rodzinie, nie miejcie mi za złe mojej szczerości...

Ja jestem autorem tej makabrycznej przepowiedni!

JAROSŁAW M. RYMKIEWICZ

DRESZCZYK I POEZJA

Małe, ubogie wydawnictwa. Jest ich w kraju naszym kilka. Powstałe niedawno (decentralizacja!), wciąż jeszcze zagrożone ze wszystkich stron, nie usiłują nawet konkurować z wielkimi machinami centralnymi, przeżuwającymi autorów i wypluwającymi książki, setki książek. A jednak, w przeciwieństwie do PIW-u, Czytelnika czy nawet krakowskiego Wydawnictwa Literackiego, posiadają owe małe, ubogie wydawnictwa swój własny, niepowtarzalny kształt. Jakże różne w wymiarach i konstrukcji od warszawskich pałaców książki, różnią się także między sobą. Więc własny profil? Po kilku miesiącach, po roku istnienia? Dziwne. Tym dziwniejsze, że ów profil da się zdefiniować raczej przez stwierdzenia negatywne. Bo czegóż te małe wydawnictwa nie wypuszczają w świat? Nie wypuszczają Hemingwaya i Mauriaca, Saganki i Caldwella. Cóż, zapewne brak dewiz. Nie wydają też dzieł spisanych przez sławy krajowe, przez tych, których obyczaj — rzadziej dzieło — jest tematem szeptów w kawiarniach. Sławy wolą zapewne wydawać swe książki w PIW-ie lub w Iskrach. Ja się nie dziwię. Cóż jednak pozostaje małym, ubogim wydawnictwom? Klasycy? Ba, wszyscy kasowi — a także i niekasowi — klasycy wydani zostali już dawno. I przeczytał naród klasyków i książki ich trzyma w bibliotekach i nowe nakłady czekają w księgarniach. Więc co pozostaje?

Tak, zaspokajanie potrzeb terenu. A cóż to jest ten teren? Teren, to oczywiście ś r o d o w i s k o. I czytelnik, postać bliżej nieznana. Ś r o d o w i s k o to pisarze. Jakie są ich potrzeby? To jasne, ci chcą wydawać swoje książki. A potrzeby, żądania czytelnika? O nich nie wiemy nic lub prawie nic.

Potrzeby terenu. Zapisałbym na chwałę Wydawnictwu Łódzkiemu to, że nie zaspokaja tych potrzeb. To znaczy, nie przesadza w ich zaspokajaniu. I nie widzi jako swego celu jedynego — wydawania tylko wspomnień łódzkich, łódzkich monografii i łódzkich antologii. Oczywiście, wspomnienia, antologie i monografie powinny się ukazywać. Nie wydając ich, producent postępowałby wbrew interesom miasta i wbrew rozsądkowi historycznemu. Dobrze więc się stało, że Wydawnictwo Łódzkie zaofiarowało nam „Gawędy o dawnej Łodzi" — Heleny Duninówny i że zapowiada zbiorową „Księgę wspomnień łódzkich" (Piechal, Zawieyski, Augustyniak, Czapczyński, Ajnenkiel i inni). Na marginesie pytanie: dlaczego brak nazwisk plastyków z grupy Strzemińskiego, dlaczego brak nazwisk wielu pisarzy i naukowców, którzy Łódź przeszli lub z Łodzią związali się na zawsze? Ale pamiętać

MARIAN PIECHAL

CZY KSIĄŻKI WYCHOWUJĄ?

Odpowiedź na to pytanie nie jest prosta jakby się z pozoru wydawało. Zbyt długie doświadczenie pod tym względem komplikuje sprawę, jedną z najtrudniejszych nie tylko w pedagogice szkolnej. Nasze życie zbiorowe kształtowane jest także przez dobre lub złe przykłady, a do takich przykładów, między innymi faktami, należy przede wszystkim książka. Że nie zawsze jest to dobry przykład świadczy i ostrzega „Don Kichot" Cerwantesa.

No, ale można powiedzieć, że Don Kichot to był przypadek szczególny, nawet kliniczny, bo na ogół książki, jako dobre przykłady dobrze oddziaływują w sensie wychowawczym. Ba, ale czy książka jest dobrym przykładem? I tu właśnie ta sprawa piekielnie się gmatwa.

Jedni twierdzą, że każda w ogóle książka jest dobrym przykładem w sensie bądź pozytywnym, bądź negatywnym. Zależy to od sposobu, w jaki czytelnik zechce ją sobie przyswoić i jakie obowiązujące wnioski w stosunku do siebie z niej wyprowadzi. Inni zaś twierdzą, a do nich należą także i niektórzy literaci, że wpływ książek na życie jest bardzo nikły i że ich lektura dla większości ludzi to tylko jeden ze sposobów mniej lub bardziej przyjemnego zabicia nudy wtedy, gdy się nie ma co robić.

Jeśli nawet przyjąć, że książka w naszym życiu jest tylko pewnego rodzaju rozrywką pour passer le temps, to jednak jak każda rozrywka z natury rzeczy musi w sobie zawierać element oddziaływania na nasz nastrój, na nasze samopoczucie i na naszą psychikę, a więc element w pewnym i w jakimś stopniu wychowawczy. Chcemy czy nie chcemy, to jednak czytana przez nas książka budzi w nas takie lub inne reakcje uczuciowe i myślowe, a więc wytrąca nas ze stanu biernego, uaktywnia nas, że tak powiem, intelektualnie czyli krótko mówiąc, usposabia nas w ten lub w inny sposób do czegoś lub do kogoś.

Nie można więc powiedzieć, że wpływ książki na człowieka jest nikły. Przeciwnie. Jest bardzo znaczny tylko nie tak natychmiastowy i doraźny, jakby sobie tego niektórzy niecierpliwi literaci życzyli. To proces długofalowy i niezwykle złożony.

Czegoż to ludzie w książkach nie szukają? Potwierdzenia życia i dopełnienia życia. Tego, co w życiu jest i tego, czego w życiu nie ma. Prawdy o życiu i zmyślenia o życiu. Wiedzy o tym, co było i wiedzy o tym, co może być. Pełnego obrazu i bezstronnego osądu tego co jest. Sprawiedliwej oceny każdego ludzkiego postępku. Entuzjastycznej pochwały dobra i bezwzględnego potępienia zła. Uzasadnienia wartości życia, pozytywnej w nim roli piękna, miłości i nadziei, godności pracy, niezbędności poświęcenia i ofiary. Dowodu sensu istnienia.

Jeżeli tego wszystkiego ludzie w książkach szukają, to świadczy to tylko, jak bardzo wysoko w hierarchii swych potrzeb ludzie te książki stawiają, no i jak wielką rolę w ich życiu mogą one odegrać. A

mogą one odegrać tę rolę tylko pod tym warunkiem, że będą w sobie zawierały to wszystko, czego właśnie ludzie w nich szukają i czego się od nich spodziewają! Ważny to wskaźnik dla ich twórców, dla literatów. Jeśli ich książki nie są czytane przez ludzi, jeśli nie wywierają na nich żadnego wpływu, to oznacza tylko jedno: że książki te nie zawierają w sobie tego, co zawierać powinny: poważnej odpowiedzi na pytania, dotyczące życia i sensu istnienia. Wszelkie inne książki pozbawione odpowiedzi na te pytania są mniej ważne, a nawet nieważne, a jako takie, trudno żeby cieszyły się poważaniem czytelnika.

A więc czy książki wychowują? To zależy od ich jakości. Jeśli nie wychowują lub odstręczają od siebie, to wina w tym nie czytelników lecz twórców. Kraszewski, Sienkiewicz, Żeromski nie mogliby się skarżyć, gdyby żyli, na nikły wpływ ich dzieł na życie — nie tylko życie duchowe swych czytelników, ale i całego narodu. Bo ostatecznie ich opinie są dla całego narodu właściwą miarą wartości życia i jego sensu, w ich książkach znajdują się sprawiedliwe, jedynie możliwe do przyjęcia oceny zalet i wad. I historia znalazła w ich dziełach właściwy i pełny obraz, jeśli nie zawsze prawdziwy w rzeczywistości, to jednak sprawiedliwy w intencji. Ich książki wychowują nas na pewno i dziś, podobnie jak kształtowały wyobraźnię, uczuciowość i charaktery kilku pokoleń przed nami.

Dla nauczycieli, wychowawców i działaczy społecznych ważna to wskazówka. Pewnie, że książka traktowana jest przeważnie jako rozrywka. I jest rzeczą naturalną, że tylko tak traktowana być powinna. Bo jeśli będzie traktowana inaczej, na przykład jako nakazany lub przymusowy obowiązek, straci całą swoją atrakcyjność, przestanie oddziaływać we właściwy sobie i jedynie skuteczny sposób. Książka to rozrywka, ale rozrywka szczególnego rodzaju, której konsekwencje są bynajmniej nie rozrywkowe lecz najdonioślejszej wagi i powagi zarówno kulturalnej jak i społecznej i narodowej.

I dlatego tak ważną rolę grają pośrednicy między książką a czytelnikami — właśnie oni, nauczyciele, czy wychowawcy i działacze społeczni. Bo niewątpliwie istnieje problem książki odpowiedniej lub nieodpowiedniej w stosunku do wieku lub poziomu intelektualnego czytelnika, ale czy zaraz koniecznie szkodliwej?

W takich wypadkach ich rola, rola pośredników podobna jest do roli lekarzy, którzy czasem i truciznę stosują w interesie zdrowia. „Dzieje grzechu" Żeromskiego lub „Zbrodnia i kara" Dostojewskiego to niekoniecznie dobre przykłady w sensie negatywnym dla młodocianych prostytutek i morderców, lecz przede wszystkim wzruszające przykłady odwrotu od zła, dźwigania się z upadku i moralnego wspinania do poziomu ludzkiej godności. Ingerencja rozumnych pośredników między książką a czytelnikami jest tu niezbędna. Książki nas wychowują, owszem, podobnie jak samoloty bezpiecznie nas unoszą, ale pod warunkiem, że mają dobrych, świadomych swego zadania pilotów.

POECI ZIELONOGÓRSCY

Podobnie jak Słupsk coraz ściślejsze kontakty nawiązuje z Łodzią Zielona Góra. Jest to jedno z miast wojewódzkich, które powoli staje się jednym z ciekawszych ośrodków życia kulturalnego na tzw. prowincji. Ma swój, o dużych ambicjach repertuarowych, teatr, ma swoją grupę bardzo ciekawych plastyków, ma także kilku młodych literatów. Niektórzy z nich wydali już swoje publikacje, nakładem miejscowego ośrodka wydawniczego. Wśród nich na czoło wybija się trzech poetów, których wiersze drukujemy poniżej. Są to 3 wyraźnie zaznaczające się indywidualności twórcze: liryczny Henryk Szylkin, refleksyjny Bolesław Soliński i impresyjny Janusz Koniusz.

HENRYK SZYLKIN

Przygrywka do poematu

Wygrzebać
zagubione nadzieje
sięgać po uśmiech
do własnej kieszeni
zobaczyć niejeden dzień
Wylejcie na wargi
kwartę świeżego powietrza
Na mojej twarzy
ktoś łzy zatrul uśmiechem
na moją głowę
ktoś rzucił błyskawicę
Otarłem łzy milczeniem
i idę
podniósłszy rękawicę

Matka

Syn
za kratami
wnuk na ulicy
córka
na kolanach kochanka
Zamiatam miasto
brudne jak serce moich dzieci
Palce moje jak kruki
plecy moje jak korzeń
Ludzie
dajcie gram ciepła
na dzień życia

BOLESŁAW SOLIŃSKI

Katarakta

miał trzy opaski na oczach
aby lepiej patrzeć w siebie
zdjęli mu pierwszą
czerń zamieniła się w granat
zdjęli mu drugą
granat zamienił się w błękit
zdjęli ostatnią
oślepiło go światło
ludzie zniknęli z ulic
domy straciły dachy
świat się zawalił

Kamień

kamień-materia
wcielenie
czczone przez wieki
o stujęzycznych ustach
w nim
tajemnica życia
odwiecznym ruchem cząsteczek
rozbity atom
na podbój mitów
poniósł człowieka
uderzmy czołem przed kamieniem

JANUSZ KONIUSZ

Oczekiwanie

Nie ma jeszcze nóg, a już zabieramy je w podróż. I jest ono dla nas — zagubionych w morzu życia — Drogą Mleczną, której wypatrujemy jak marynarze żeglujący bez kompasu.

Na jawie pochylamy się nad niewielką fałdą sukienki jak alchemicy nad kamieniem życia.

Jakże już rozumiemy samotnych staruszków.

Z dialogu przed wejściem

Ja: Czajnik kuka, chichocą pokrywki?

On I: To rechotanie talerzy, plusk łyżek.

On II: Nie, bzykanie tarła, trzepotanie solniczki, ooooo, śmiech kurka.

Ona: (zza drzwi) Hi, hi, hi. To po prostu gotowanie obiadu, poeeeci.

przy tym należy, że czytelnik zapewne nie chce czuć się prowincjuszem i że bardziej, niźli rodzinne miasto, ciekawią go — rzecz to chyba zrozumiała — Polska, Europa, świat. A bardziej, niźli pamiętniki, powiedzmy, pracowników Zakładu Oczyszczania Miasta — pamiętniki Iwaszkiewicza czy Guderiana. Tak, myślę, że ten ułamek naszej wiedzy o pragnieniach mitycznego czytelnika zgodny jest z prawdą. Pragnie on, by książka pozwoliła mu przezwyciężyć kompleks prowincjusza, by otworzyła przed nim bramy jego miasta, ukazała horyzonty szersze, przestrzenie nie znane.

Czego żąda poza tym? Zgodzimy się chyba: żąda wielkiej powieści współczesnej, prawdy o sobie i czasach, w których przyszło mu żyć. Ba, ale powieść współczesna przeżywa kryzys, nie ma jej. Znamy to, słyszeliśmy wielokrotnie. Nastąpił rozpad tradycyjnego romansu, rozpad dziewiętnastowiecznego wzorca powieściowego i dziewiętnastowiecznej psychologii postaci. I szansa na powstanie powieści, skrojonej na miarę smutnej i wielkiej wiedzy czytelnika, jest raczej minimalna. Jedno z żądań czytelnika musi więc pozostać niezaspokojone. Nie sądzę, by receptę na jego zaspokojenie odnaleźć mogło małe, ubogie wydawnictwo, które stawia dopiero pierwsze kroki.

Lecz czytelnikowi wychodzić należy naprzecw. Czytelnik jest wciąż jeszcze wierny formie powieściowej, wciąż jest gorącym wielbicielem romansu, szuka fabuły, wiedzy o bliźnich, rozrywki. Sięga po Kraszewskiego, Sienkiewicza, Prusa. Jeśli więc nie można obdarować go wielką powieścią współczesną, w której odnalazłby siebie, należy zapewne podsunąć mu romans, lekturę jego ojców i dziadów. Taka jest propozycja małych, prowincjonalnych wydawnictw. Powtórzmy: nie mogą one wydawać „chodliwej" prozy zachodniej. Brak im też dewiz — a może i szczypty pomysłowości i inicjatywy — by ofiarować mogły czytelnikowi współczesną namiastkę romansu — powieść kryminalną. Zdobywają więc i to wcale skutecznie teren dziełami Scotta i Dumasa. Tak czyni przynajmniej Wydawnictwo Łódzkie.

Oto katalog tego Wydawnictwa, książeczka mała, lecz wiele mówiąca. Rok 1957—1958. Dział przekładów. Czegóż w nim nie znajdujemy! Jest tu P. Benoit ze swoją słynną „Atlantydą", jest Pierre Loti z dwoma jakże podniecającymi naszą ciekawość tytułami — z „Azjadą" i z „Widmem Wschodu", jest wreszcie A. K. Tołstoj z fantastycznym, romantycznym i niesamowitym „Upiorem" (rzecz już wydana) i są, oczywiście, obszerne dzieła wybrane (a może wszystkie?) ojca i syna Dumasów. W dziale wznowień, rzecz jasna, znajdujemy Marię Rodziewiczównę, w dziale literatury młodzieżowej jest tak miłe budzący wspomnienia, romans dla naszych milusińskich, „Mały Lord".

Proszę mi wybaczyć ton tych zdań, trochę niechętny. W gruncie rzeczy nie mam nic przeciw wydawaniu nadgryzionych przez czas i mole opowieści z dreszczykiem czy strasznie (ale to strasznie!) smutnych fabuł miłosnych. Wręcz przeciwnie, uważam — a podobnie zapewne uważają i redaktorzy Wydawnictwa — że cel jest szlachetny i że opłaca się wydawać Dumasa, Tołstoja i Burnetta, jeśli za zarobione na tych pozycjach pieniądze można będzie opublikować następną serię „Biblioteki Poetów". Albo zrealizować przedsięwzięcie zapowiadające się tak pięknie, jak projekt nieperiodycznego pisma poetyckiego. Te ostatnie pozycje są na pewno tzw. wkładem do kultury. I to wkładem wcale poważnym. I, ostatecznie, to one stanowią o poziomie wydawnictwa i o jego znaczeniu. Ale czy tylko one powinny o nim stanowić? Niepokoi mnie rozmach, z którym zabrano się w Łodzi do przypominania nam makulatury. Niepokoi mnie, wykazywana przez redaktorów, chęć zarabiania na czytelniku za wszelką cenę. Chęć ogłupiania go przy pomocy Lotiego i Dumasa. A niepokój mój rośnie, gdy pomyślę, że ofiarowany czytelnikowi dreszczyk zostanie z wdzięcznością przyjęty. I czytelnik zostanie zdobyty, z pewnością. Dla dreszczyków. Bo poezji, jak wiadomo, nikt trzeźwy w XX wieku nie czytuje.

Jarosław Marek Rymkiewicz

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

ZAKON BŁĘKITNYCH RYCERZY

(fragmenty opowiadania)

Justyn szedł do szkoły ze spuszczoną głową. Zerwać z Renatą? Dobrze, ale jak? Jak on to zrobi, co powie? Spojrzy na niego przerażona, uroni kilka łez i koniec, nie ma zerwania. Zerwać z Renatą można tylko korespondencyjnie. Automatycznie skręcił z dużego rynku w ulicę prowadzącą przez skwer do gimnazjum. Starał się stawiać stopy tak, aby stopa spoczęła za każdym razem pośrodku betonowej płyty chodnika. But nie powinien jednocześnie dotykać dwóch płyt. Stary, wypróbowany sposób na pomyślne wyniki w nauce, szczególnie skuteczny w okresie powtórek i przed klasówkami. Chodnik skończył się. Justyn podniósł głowę. Po przeciwległej stronie ulicy, na tle soczystej zieleni skweru, przystanęła Renata. Śliczna, uśmiechnięta twarz, kształtne dołeczki wyżłobione w rumianych policzkach, długie warkocze splecione po obu stronach głowy w „nauszniki". Podnosił je

zawsze lekko, ilekroć chciał jej powiedzieć coś miłego, ciepłego.

Zatrzymał się jak wryty. Renata stała nadal uśmiechnięta, spokojna, ufna w ich pierwszą miłość. Wreszcie, przygotowany na wszystko Justyn, ruszył szybko przed siebie. Powtarzał szeptem słowa przysięgi zakonu: „nie zaznamy szczęścia osobistego, dopóki nie wyschnie ostatnia łza w oku cierpiącego człowieka, dopóki nasze pokolenie przyszłej wiosny nie przyniesie". Był już prawie pewien, że uratuje honor rycerza błękitnego, kiedy dziewczyna podbiegła lekko do niego. Nim ochłonął — trzymał już w ręce żółtą kopertę.

Przebiegł niewielki skwer, spojrzał na uliczny zegar katedralny. Brakowało jeszcze kilkunastu minut do rozpoczęcia lekcji. Zawrócił niespokojnie i przysiadł na ławce. Wokół panowała cisza. Przez gęste liście kasztanów przeciskały się złote smużki słońca. Co pewien czas biegł alejką jakiś gorliwy uczniak z pierwszych klas, w tornistrze hałasował głucho piórnik.

Rozerwał kopertę, na teczkę spadło maleńkie bursztynowe serce. Justyn walczył jeszcze ze sobą, nie mógł jednak opanować drżenia, uczuć, myśli, przewidywań, nadziei, które były sprzeczne z ideałami zakonu.

— „Tak mi strasznie smutno bez Ciebie — skarżyła się Renata. — Jestem wciąż pod wrażeniem śmierci Ojca Świętego. Nie chcę Ci robić przykrości, ale piszę Ci tak z całego serca, że nie powinieneś iść do Jaszczołtów. Przecież wiesz, że cały kraj nasz spowity jest w ciężkiej żałobie. Wiem, że będzie Ci ciężko zachować się poważniej niż zwykle, ale trudno. Jaszczołtówny powinny odłożyć tę swoją zabawę na inny czas. Jeżeli tego nie zrobią, to bardzo brzydko z ich strony. Proszę Cię, Kochana Dziecinko, nie opuszczaj mnie, ja Cię tak strasznie kocham, po prostu uwielbiam. Jutro wybieram się do kina na „Dziewczyna szuka miłości", a w niedzielę pójdziemy razem do „Cassina". Ściskam Cię mocno i tulę do serca. Twoja na zawsze Renata".

Ocuciło go silne uderzenie w plecy. Chorwat rozstawił szeroko nogi i wpatrywał się życzliwie w Justyna.

— Wzięło cię, co? To są bracie, życiowe problemy!

Justyn wstał bez słowa. Dochodziła ósma. Pobiegli do szkoły, w szatni ściągnęli błyskawicznie buty, wdziali miękkie, filcowe pantofle i ślizgając się jak łyżwiarze po lśniącym parkiecie, wjechali do klasy.

Nim Justyn zdołał usiąść, chwycił go za kołnierz olbrzymi Florek, ogólnie znany siłacz, ale i głowa wyjątkowo tępa. Pod klapą marynarki błysnął na sekundę żółty trójkąt w kole. Justyn poczuł w tym momencie ciekawy wzrok Mroza. Mały, pucołowaty Mróz, kandydat na księdza, siedział przy drugim stoliku, tuż za Justynem i Chorwatem.

Florek potrząsnął schwytanym energicznie, podsunął pod nos potężną pięść i wrzeszczał prosto w ucho.

— Dziś twój dyżur, panie intelektualisto, pieska twoja niebieska! Spróbuj tylko, chamie, źle podpowiadać, ręka, noga, mózg na ścianie!

Instytucja „dyżuru", znana w szkole od niepamiętnych lat, przekazywana z pokolenia na pokolenie, była niezwykle prosta, ale tylko nielicznym profesorom udawało się ją odkryć. Odkryć — znaczy — przyłapać na gorącym uczynku dyżurującego, gdyż do wyjątków należał nauczyciel przekonany, że na jego lekcji nikt nikomu nie podpowiada. Dyżur polegał na tym, że uczeń obarczony tym obowiązkiem podpowiadał wyznaczonego dnia z takiego czy innego przedmiotu. Daty i zakres podpowiedzi ustalały się niejako same, pod wpływem ogólnej atmosfery, która z kolei zależała od „humoru" profesora. Zazwyczaj chodziło o przedmioty „niebezpieczne" — łacinę, chemię, niemiecki czy matematykę.

Pierwsza lekcja zaczęła się w nastroju wybitnie pogromowym. Łacinnik, stary „Marcus", wyciągnął z wewnętrznej kieszeni maleńki, czerwony notes, ostrzył wśród martwej ciszy ołówek, wreszcie zaczął szukać pierwszej ofiary. Cisza osiągała w takich momentach kulminacyjny punkt.

— No, Miazga, umiesz ty co?

Miazga zbladł. Z drobiazgowych wyliczeń, wróżb, rozmaitych horoskopów wynikało, że nie będzie dziś odpowiadał. Wszyscy, tylko nie on.

— Ma się rozumieć, panie psorze, ubóstwiam klasyczne teksty, poezję, tego, dystychy, bukoliki, sielanki... i te de panie psorze.

— No to zbliż się troche.

Miazga stanął przed pierwszym stolikiem. Jego zwaliste szerokie plecy skrywały idealnie przygarbionego Justyna. Maleńki dzienniczek ze słówkami niewidzialny dla profesora, dyskretnie wsunięta pod stolik gramatyka łacińska raz jeszcze miały oddawać nauce nieocenioną przysługę.

— Incipimus! — Marcus spojrzał za okno — uzbroić flotę?

Rozpaczliwe ruchy dłoni, założonych do tyłu, wskazywały wyraźnie, że Miazga jest w wielkiej potrzebie.

— Źle — pomyślał Justyn — jak on tego nie wie, to co on wie?

— Classem comparare — podpowiadał szeptem.

— Klasę komparare — mruknął Miazga.

— Jak? — zaciekawił się Marcus — jak? Intendo vocem, Miazga!

— Jak, jak pan psor był łaskaw się wyrazić? — Miazga zyskiwał na czasie — ach, oczywiście, proszę uprzejmie — classem comparare.

— Wojna morska?

Znowu ledwo dosłyszalny, wytrawny szept Justyna i głęboki bas Miazgi.

— Pugna navali.

Wszystko zmierzało do pomyślnego końca. Mimo pewnych trudności w przesyłaniu wiedzy na odległość, Miazga odbierał podpowiedzi tak inteligentnie, że powinien „wylądować" na dobrze.

Marcus uśmiechnął się.

— Widzę, Miazga, że zaczynasz pracować nad sobą. Najwyższy czas, zakwitły kasztany. Tak, tak, ingenia polororum sunt aperta et candida... podaj mi jeszcze przykład na accusativus cum infinitivo, ale taki życiowy, nie z książki.

Marcus zapytał prawdopodobnie dla żartu, któż o takie rzeczy czepia maturzystę? Ale Miazga znów rozpoczął osobliwy taniec. Nogi podnosił regularnie, ręce błagały o pomoc, trzepotały się, zaciskały w pięść, to znów rozkładały bezradnie. Justyn stracił głowę. Przykład z codziennego życia? O co Marcusowi chodzi? Co tu takiego wykombinować? Obejrzał się na Mroza. Sodalis Marianus, znakomity łacinnik, nie odmówił pomocy. Wyczekał cierpliwie, aż Marcus spojrzy za okno i pochylił się błyskawicznie do przodu.

— Scio te asinum esse! — Miazga uśmiechał się zadowolony.

Marcus podskoczył na krześle. Zdjął okulary, ściągnął groźnie brwi. Miazga dostrzegł jego małe, spłoszone oczy.

— A to doprawdy ciekawy przykład, bardzo ciekawy. I kogóż to miałeś na myśli, mój panie, może mnie?

Marcus zbiegł z katedry. Kiedy zbliżył się do okna, gdzie ławą siedzieli synowie chłopscy, zwarte stronnictwo demokratów ogólnoszkolnych, Mróz wychylił się znowu do przodu. Wśród ponurej ciszy zabrzmiał znowu wesoły bas Miazgi.

— Pana premiera miałem na myśli, panie psorze.

Marcus zatrzymał się nagle, jakby wrósł w ziemię, otworzył usta w najwyższym zdumieniu, z trudem łapał oddech.

— Boże, kompletny asinus, asinus magnus, co ja mówię, asinus maximus. Przetłumacz coś powiedział!

Dopiero teraz zaczął Miazga zdawać sobie sprawę z powagi sytuacji. Leży na całego! Mróz zemścił się straszliwie na swoim ideowym przeciwniku. Siedział spokojnie, oczy wlepił w sufit, nie dostrzegał złośliwych spojrzeń, którymi obrzucali go solidarnie wszyscy współkoledzy. Ale fakt był faktem. Ciemna mogiła! Wsypa przy końcu roku. Już się Miazga nie wykopie. Marcus znowu podszedł do okna. Justyn wykorzystał moment. Niech przynajmniej wie po polsku, co po łacinie powiedział mu Mróz.

— No? — Marcus odwrócił się od okna.

— Wiem, że jesteś... nie, nie mogę, panie psorze... nie wypada.

— Mów, trutniu jeden — Marcus podniósł głos. Zabrzmiał śmiesznie, prawie dziecinnie — mów, z tego rodzaju poglądami i tak pójdziesz tłuc kamienie na szosie, jeśli cię przyjmą.

— Oslem — wystękał ponuro Miazga. Jego ściśnięta za plecami pięść groziła Mrozowi.

— Za te kpiny, niech mi tu ojciec jak najszybciej przyjdzie z wizytą.

Marcus był wychowawcą klasy, takie wezwanie rodzica zapowiadało nieuchronną klęskę.

— Ojciec nie przyjdzie — z ostatniej ławki podniósł się mały, zezowaty, poeta liryczny Dzik — ojciec Miazgi siedzi w areszcie. Było nieporozumienie z panem posłem, no i siedzi sobie.

Marcus zmiękł. Próbował jeszcze zachować groźną postawę, pomrukiwał, ściągał brwi, ale klasa wyczuwała nieomylnie, że Miazga wyjdzie cało.

— No już dobrze, dobrze, to u was, jak widzę, rodzinne — powiedział ciepło.

— Właściwie, panie psorze, z punktu widzenia gramatyki, ośmielam się stwierdzić, że przykład jest zupełnie dobry — Justyn bronił przyjaciela i dobrego imienia instytucji „nieustającego dyżuru".

— Nie pozwalaj sobie za dużo, zwłaszcza niepytany o zdanie — próbował złościć się Marcus, ale zdradzał go lekki uśmiech — właściwie masz rację, przykład dobry, tylko — kto się dzisiaj przejmuje gramatyką — westchnął.

Miazga otrzymał pełną czwórkę.

W czasie przerwy Mróz stanął przed sądem koleżeńskim. Olbrzymi Florek wcisnął głowę sodalisa do kosza od śmieci, dziesiątki rąk ściągały z nieszczęśnika spodnie. Wierzgającego Mroza rozciągnięto na stoliku. Rozpoczęła się okrutna zabawa w „salonowca". Chłopcy podchodzili kolejno do rozciągniętego na stoliku sodalisa i bili otwartą dłonią w obnażoną część ciała. Po każdym uderzeniu Florek pytał słodko:

— Zgadnij, łobuzie, czyja to rączka.

Wyrok sądu koleżeńskiego był straszliwy. Mróz miał jedną tylko szansę, odgadywać trafnie autorów bolesnego uderzenia. Ocenił trafnie dopiero dziesięciu — kiedy zadźwięczał dzwonek.

Na lekcji niemieckiego dyżurował Chorwat. Florek słuch miał niezwykle ostry, słyszał szept nawet z końca klasy, ale w językach był tępy ponad wszelki podziw. Po „maglu", jaki mu sprawił germanista — trójka z minusem wydawała mu się najwyższym stopniem jaki kiedykolwiek otrzymał. A trzeba lojalnie przyznać, że w ciągu roku uzyskał dwa stopnie bardzo dobre: z gimnastyki i przysposobienia wojskowego i jeden dobry — z matematyki, który zresztą zawdzięczał doskonałemu wzrokowi. „Zerżnął" klasówkę zaglądając sąsiadowi przez ramię.

Uszczęśliwiony Florek siadł przy stoliku i natychmiast przesłał pocztą klasową list do dyżurnego.

— „Du bist mein Freund bis zum Tode. Ich liebe Dich sakrakrucyfiksdonnerwetter" — czytał wzruszony tym podziękowaniem Chorwat.

Justyn siedział zamyślony, wyobcowany z klasy. Był bardzo dobrym germanistą, ze strony profesora nie groziło mu najmniejsze niebezpieczeństwo. Na kolanach leżał otwarty, żółty list od Renaty. Przerwał na chwilę lekturę, wybiegł spojrzeniem poza okno. Przez biały mur, po drugiej stronie ulicy, przesypywało się kapryfolium. Stał tam jasny, modrzewiowy dworek, ocieniony starymi drzewami. Ponad mur wystawało zgrabne, trójkątne pięterko z ganeczkiem. Po obu stronach ganku ciemniał wysoki, spadzisty dach, kryty zielonymi od starości gontami. Okno, to ilustracja, barwna kartka z „Popiołów", książki najdroższego pisarza. Jeszcze chwila i na ganeczek wyjdzie para przyjaciół — Rafał Olbromski i Krzysztof Cedro. Skrzypną cicho zamykane drzwi, a oni staną przyciśnięci do siebie i rozejrzą się po myśliwskich szlakach świętokrzyża. Już naszczekują niecierpliwie wyżły, za chwilę podprowadzą konie przed ganek.

Dzwonek, krótka przerwa, wypełniona pogwarkami, wesołym żartem, wreszcie ostatnia lekcja. Do klasy wsunął się ksiądz prefekt. Przewlekła choroba unieruchomiła księdzu nogi w stawach, posuwał się do przodu dziwnym, chybotliwym krokiem. Ten właśnie chwiejny, krótki krok usprawiedliwiał całkowicie przydomek, jaki nadano prefektowi jeszcze kilkanaście lat temu — „pingwin". Prefekt zwracał się do młodzieży w sposób niezwykle oryginalny. Nie uznawał słowa „ja". Ilekroć wyrażał osobiste uczucia, przekonania, opinie, używał wyłącznie formuły — „ksiądz". Ksiądz sobie życzy, żeby młodzież kochała Pana Boga i nie wychowywała się w kinie, albo na ulicy. Ksiądz prosi klasę o cynfolię i znaczki pocztowe na wykupienie Murzynów z pęt pogaństwa.

Ksiądz zatrzymał się przy drzwiach, tuż obok „judasza", małego okienka, przez które można było zajrzeć do klasy z korytarza. Raz jeszcze powtórzyła się ceremonia, utrwalona od lat, do najdrobniejszego szczegółu ta sama.

— Laudetur Jezus Chrystus! — skandował prefekt.

— Per omnia secula seculorum aaameeen! — buczała śpiewnie dwudziestka chłopców.

Ksiądz przesunął się do Mroza, pocałował go z namaszczeniem w czoło.

— Pamiętaj kochać Boga i nie zapominaj w tych ciężkich czasach być dobrym endekiem!

Od lat nie zdarzyło się coś podobnego. Odwieczny, niewzruszony nigdy dotąd porządek lekcji religii został zamącony. Jak świat światem, a stara szkoła szkołą, prefekt całował w czoło najbliższego ucznia, a więc Justyna! Mróz siedział dopiero za drugim stolikiem. Ksiądz prefekt nigdy nie fatygował się aż tak daleko. Wracając od Mroza „pingwin" zatrzymał się przed Justynem i wygłosił krótkie przemówienie.

— Ksiądz jest bardzo smutny, ksiądz jest natchniony, wie wszystko i dlatego jest taki smutny. Ksiądz płacze nad upadkiem młodzieży, która rozczytuje się w książkach niesławnej pamięci naszego ucznia Stefana Żeromskiego. Onże pan, dla zaspokojenia swoich doczesnych potrzeb, wybujałych ponad ludzką i boską miarę, zmienił wiarę katolicką na kalwińską. Oto do czego prowadzi nadużywanie ziemskich rozkoszy. Ksiądz się martwi o duszę naśladowców pana Żeromskiego.

Justyn poczuł silne szarpnięcie za ucho. Wstał. „Pingwin" obrócił się gwałtownie twarzą do klasy. Ręka księdza podniosła klapę szkolnego mundurka, błysnął lśniący, żółty trójkąt w kole, znak Zakonu Rycerzy Błękitnych, a w gruncie rzeczy reklamowa wpinka fabryki wełny i włóczek „Trójkąt w kole".

— Żydo - komuna - masoneria! Ksiądz jest natchniony, ksiądz wszystko wie! — oczyma przewiercał sufit, błądził w niebie.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

ADAPTACJA POWIEŚCI ANDRZEJA OSTOJI

aspazja

ILUSTR. JBIS-GRATKOWSKI

— 70 —

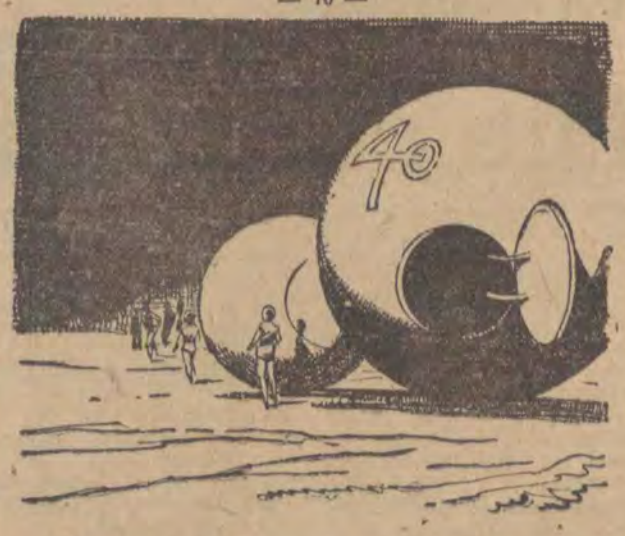

Z bramy domu, przed którym zatrzymaliśmy się wyszło po chwili kilka pszczół i, o dziwo, ludzka postać w skafandrze! Typ skafandra był stary, sprzed kilkudziesięciu lat — jeszcze nie stallorowy, lecz plastikowy. Urządzenie nadawcze w nim szwankowało. Słowa wychodziły chropawe i urywane.

— Wi...am....ownych...ów z....mi — mówił dziwny, starczy głos

Ludzka postać zaprosiła nas do innego pojazdu, również podobnego do sań i również ślizgającego się bez najmniejszych wstrząsów po jednej szynie. Niezwłocznie pomknęliśmy gdzieś dalej. Znów wjechaliśmy w tunel, w którym migotały niebieskie światełka.

— ...stem:...fesor:::atona z :::prawy marsyjskiej.

Ach, przypominam sobie: profesor Latona, jedyna kobieta jaka brała udział w wyprawach marsyjskich. Przypomniała mi się któraś z jej biografii. Była to niezwykle piękna, urocza młoda kobieta. Zyskała światową sławę w związku ze swoimi badaniami świata antycznego, a w szczególności — Grecji. Dzisiaj musiała mieć już około 300 lat. Z pochodzenia była Greczynką i urodziła się w Atenach. Lecąc na Marsa podejrzewaliśmy, że to może ona stała się Aspazją — tą straszną kobietą, o której wspominał stary Vituulen.

Po godzinie wjechaliśmy w jakiś nowy zamieszkany obszar, który na pierwszy rzut oka przypominał trochę nasz ziemski pejzaż. Świeciły tutaj i grzały sztuczne słońca. Było ciepło i jasno. Znaleźliśmy się na obszarze, gdzie była atmosfera zbliżona do ziemskiej. Ujrzałem olbrzymie granatowe, fioletowe i niebieskie drzewa oraz żółte, pomarańczowe i pur-

— 71 —

purowe krzewy obsypane kwiatami podobnymi do storczyków.

Znajdowaliśmy się w środku jakiegoś niedużego, cudownie pięknego miasta. Widziałem wspaniałe gmachy, portale, kolumny, portyki, obeliski, kariatydy. Wszystko z marmuru i białego kamienia. Miasto było niezwykle czyste, dostojne, majestatyczne, ale jakieś dziwne — robiło wrażenie zupełnie wymarłego.

Byłem wstrząśnięty tym pięknym widokiem — i w pamięci mej snuły się jakieś wspomnienia. Ja to miasto gdzieś kiedyś już widziałem.

Zatrzymaliśmy się na dole, tymczasem tam, na górze, na skalistej wysepce wznosiły się białe gmachy, niewypowiedzianie piękne — i raptem sobie przypomniałem.

— To Akropolis! — krzyknąłem.

Latona opuściła hełm i my uczyniliśmy to samo Ach, to była bardzo stara kobieta. Jej twarz o barwie pergaminu była pokryta siecią zmarszczek, na zwiotczałej szyi skóra zwisała jak u indyka, spojrzenie było zgaszone, włosy siwe, a starczy głos brzęczał jak rozbity garnek.

Obejrzała nas pobieżnie i powiedziała:

— Witajcie w drugiej stolicy Marsa, Nowych Atenach.

Widząc nasze zdumienie, mówiła dalej:

— Z woli Aspazji, królowej Marsa, macie przed sobą odtworzone Ateny z epoki Peryklesa z matematyczną wprost dokładnością. Będziecie mieszkać w tym oto wspaniałym gmachu, który nazywa się Dydaskolion.

Wszędzie widziałem bardzo dużo kwiatów, były to kwiaty o niespotykanych u nas, fantastycznych

— 72 —

kształtach i mocnym, odurzającym zapachu. Pięły się po murach wspaniałych gmachów, rosły przed domami, pełno ich było w gazonach i skwerach. Na placach tych i skwerach widziałem z dala białe, marmurowe lub lśniące złotem — pomniki.

— Ktoś ty właściwie jest? — zapytał naszego cicerone admirał Hill. — Czy ty jesteś naprawdę profesor Latoną z II ekspedycji?

— Tak, to ja — odrzekła.

— A co tutaj robisz? Jakie pełnisz funkcje?

— O — co tak dużo pytań naraz? — zaśmiała się skrzekliwie. — Jestem kimś w rodzaju wychowawczyni, nauczycielki, doradczyni królowej Aspazji.

— Pani! — krzyknąłem. — Z tego wynika, że ludzie naszych wypraw ocaleli?

— Ocaleli... ocaleli... — zaskrzeczała — ale nie wszyscy, tylko niektórzy... po trzech... po pięciu z każdej wyprawy.

— A reszta? — krzyknąłem jeszcze głośniej.

— Reszta? — powtórzyła i wskazała ręką. — Reszta to te pomniki.

— Co to znaczy? — zawołałem.

Wzruszyła ramionami i sepleniła po swojemu.

— To znaczy, mój drogi, ciekawy panie, że gdy człowiek tutaj umiera, to się go pokrywa grubą warstwą złota. Galwanizuje się go, mówiąc inaczej. Człowiek w środku znakomicie się mumifikuje, a na zewnątrz, jak widzicie, powstaje bardzo ładny pomnik. Uwiecznia się go na cokole i marsz... gdzieś na plac, na skwer, do parku albo do Panteonu. Mamy tych pomników ponad pół tysiąca, tak że zabrakło już dobrego miejsca na ustawianie. Marsjanie projektują wybudować nowy Panteon.

(d. c. n.)

GOLONO STRZYŻONO

O RÓWNE PRAWA MĘŻCZYZN

Na uniwersytecie oxfordzkim wydarzył się niedawno interesujący wypadek. Docent dr Howard Pillman, mający 71 lat, zjawił się pewnego dnia na terenie uczelni, ubrany od stóp do głowy w damskie suknie. Wezwano natychmiast policję, profesor jednak oświadczył zupełnie przytomnie, iż w czasach, kiedy kobiety zaczynają coraz częściej nosić męskie spodnie, chciał w ten sposób zademonstrować na rzecz równouprawnienia mężczyzn.

LATAJĄCY BUT

Policja w Hong Kongu aresztowała w nocy podchmielonego Chińczyka, znanego pod przezwiskiem Pee-Hai-Por, co znaczy mniej więcej „latający but". Zapytany przez sędziego, skąd wzięło się to przezwisko, Pee-Hai-Por w mgnieniu oka ściągnął but z nogi i rzucił nim w sędziego z niebywałą celnością. Drugi but trafił w głowę towarzyszącego sędziemu urzędnika.

CO JEST PRZEKUPSTWEM?

Bundestag ma ustalić, czy i wówczas, kiedy urzędnikowi ofiarowywane są dobra nie materialne, ma miejsce przekupywanie urzędnika. Asumpt do tych rozważań dało postępowanie pewnej firmy farmaceutycznej, która zaprasza urzędników na polowania i zabawy ogrodowe, zapewniając im „spędzenie czasu w uroczym towarzystwie młodych kobiet".

POCIESZYCIELE

W „Remscheider General-Anzeiger" ukazało się następujące ogłoszenie: „Drodzy czytelnicy! Nie niepokójcie się sytuacją międzynarodową. Jeśli będzie miało się rzeczywiście wydarzyć coś poważnego, „General-Anzeiger" wypuści wydanie nadzwyczajne. Aż do tej chwili życzymy wszystkim pięknej niedzieli!"

WSCHODNIE SMAKOŁYKI

Do chłodni sklepu delikatesowego w Filadelfii, sprzedającego wszystkie orientalne smakołyki, włamał się złodziej. Jednakże już następnego dnia 72 skradzione z chłodni puszki nadeszły do sklepu drogą pocztową wraz ze zwięzłym anonimowym listem: „Zjedzcie sobie te rzeczy sami!" Pełne goryczy słowa złodzieja stają się zrozumiałe, jeśli wziąć pod uwagę, iż w skradzionych puszkach znajdowały się mrówcze jaja, pszczoły smażone, motyle, słodko-kwaśne grzechotniki oraz pieczone gąsienice.

WANDALE

Słynne muzeum w USA — „National Galery of Art" — nawiedzane jest od pewnego czasu przez wandali, którzy rzucają w płótna rozmiękłą gumą do żucia. Na jednym z obrazów Vermeera, przedstawiającym młodą kobietę, wandale przykleili gumę do warg modelki.

SUPERSTATYSTYKA

Jak podało biuro koordynacji angielskiego przemysłu tekstylnego, na terytorium Zjednoczonego Królestwa W. Brytanii i Irlandii mole zjadają rocznie 3.500 ton tkanin wełnianych.

HIGIENA CIAŁA

Pani Wallis, żona księcia Windsoru, cieszy się opinią kobiety niezwykle ekscentrycznej. W swej luksusowej willi pod Paryżem kazała urządzić specjalny basen przeznaczony wyłącznie do kąpieli nóg. W basenie pływają złote rybki — jak bowiem twierdzi pani Wallis, kąpiel nóg w basenie ze złotymi rybkami czyni skórę szczególnie delikatną.

GOLONO STRZYŻONO

MIĘDZY NIEBEM A ZIEMIĄ

Alberto Cristoforo znany skoczek, wziął ślub nad Turynem, opadając na spadochronie, ubrany w smoking, u boku małżonki, której toaletę stanowiła biała suknia. Również ksiądz towarzyszył małżonkom w ich napowietrzej drodze do ołtarza, co się zaś tyczy prezentów ślubnych — to opadały one łagodnie na oddzielnych spadochronikach.

ZDOLNY CELNIK

Norah Docker, 52-letnia małżonka angielskiego milionera, została we Włoszech oskarżona przed sądem za naruszenie spokoju publicznego i zachowanie się w sposób napastliwy wobec włoskiego celnika. Celnik ów oświadczył, że lady Docker użyła pod jego adresem słów: „Son of a bitch" (sukinsyn). Na pytanie obrońcy, w jaki sposób zrozumiał to wyrażenie, skoro w zasadzie nie zna w ogóle angielskiego, celnik odparł z dumą: „Byłem zatrudniony przy NATO i przyswoiłem tam sobie kilka wyrazów".

ZAKAZ

W Tokio wydano zakaz sprzedaży wódki ryżowej „sake" w postaci pasty. Jak bowiem stwierdzono, częste mylenie „sake" z pastą do zębów spowodowało już szereg wypadków zatrucia alkoholem wśród młodzieży szkolnej.

WYNALAZEK

W USA wynaleziono urządzenie superradarowe, reagujące na promienie podczerwone. Wynalazek ten, który wzbudził zainteresowanie Departamentu Obrony, odznacza się jednak pewnym mankamentem: reaguje mianowicie tak samo na zapalenie cygara, jak i na wybuch rakiety międzyplanetarnej.

PIĘĆSET ORCHIDEI

Susan Strasberg, młoda, lecz popularna już aktorka z Brodwayu, nienawidzi orchidei jak zarazy. Niechęć do tych kwiatów pochodzi u niej z okresu, kiedy miss Strasberg musiała w czasie każdego przedstawienia sztuki „Time Remembered" zjeść kilka orchidei, sztuka zaś szła bez przerwy przez dziewięć miesięcy. W ciągu tego czasu Strasberg spożyła około pięciuset kwiatów.

POMYSŁ

Niejaki Robert Hampis z Brukseli wpadł na interesujący pomysł: zaczął on produkować we własnym warsztacie „znaczki pocztowe z Marsa" i udało mu się je sprzedać 763 naiwnym filatelistom po niezwykle wygórowanej cenie. Obecnie Hampis, skazany na 14 miesięcy, przebywa w więzieniu.

PECH

Na przedmieściu Philippeville algierscy powstańcy wrzucili przez okno bombę do kantyny wojskowej. Bomba wpadła do kotła z zupą i nie wybuchła na skutek zamoczenia ładunku.

ZA CIASNE

Armia kanadyjska poniosła ostatnio straty w wysokości 209 tysięcy dolarów, ponieważ 124 353 pary krótkich spodni khaki, wyprodukowanych dla armii, nie pasuje na żołnierzy. Przyczyna: spodnie są za ciasne w pośladkach. Po zniżonej cenie zostaną one sprzedane ludności cywilnej.

miejscowość europejska

JERZY WILMAŃSKI

Miejscowość europejska. Co prawda nie wspominają o niej encyklopedie, nie informują bedekery, ale ona istnieje sobie i tak. Od wieluset lat Aleksandrów wyrzuca na krajowy i światowy rynek miliony tuzinów skarpet, nylonów...

Kiedyś w zamierzchłych czasach tutejsze fabryki produkowały sukno dla wojska. Interesował się tą mieściną Staszic, odwiedzał generał Zajączek. Ale kto o tym pamięta? O Staszicu wiedzą (i to zapewne niewiele) dzisiejsi uczniowie trzech aleksandrowskich szkół podstawowych. A już Zajączek wszystkim chyba mieszkańcom kojarzy się jedynie z buraczkami.

RACHUNEK GORYCZY

Aleksandrów. Ludzie chodzą do pracy, do sklepów, do kina. Jak wszędzie, jak w każdym zakątku Polski. A jednak... Jednak tej części reportażu nie potrafię nazwać inaczej jak rachunek goryczy. Rachunek wystawiony miastu Aleksandrów.

Jest tu Dom Kultury. Kiedyś Bogdan Drozdowski oburzał się, iż funkcję kierownika Domu pełni fryzjer. Fryzjera, rzecz prosta, zaraz potem zdjęto. Ale i cóż z tego, nowy kierownik wprawdzie nie fryzjer, ale i KO-wiec z niego żaden.

Jest tu Dom Kultury. Sala widowiskowa, scena, biblioteka, czytelnia, krzesła, stoły, poplelniczki, kierownik...

Nie. To nieprawda. W Aleksandrowie nie ma Domu Kultury, stoją tylko mury, straszą puste sale.

Mieszka tu 10 tysięcy ludzi. Tak na pierwszy rzut oka nawet trudno w tę liczbę uwierzyć. Lecz w niedzielę, kiedy ochotnicza straż pożarna urządza zabawę („Orkiestra doborowa, bufet obficie zaopatrzony", wiadomo w co zaopatrzony), ludzi mrowie. Chyba podczas występów w cyrku nie było więcej.

Jest tu biblioteka miejska, liczy kilka tysięcy tomów. A czytelników? O wiele, wiele mniej. Nie wiem, czy chociaż co piąty mieszkaniec tej europejskiej miejscowości wie o istnieniu biblioteki.

Jest tu liceum ogólnokształcące. Ale cóż, kiedy dostarcza ono miastu za wielu kulturalnych analfabetów. Zresztą nie tylko. Sensacji dostarczają także nierzadkie pyskówki między nauczycielami.

Trudno, wzruszy ktoś ramionami. Nie ma na razie lekarstwa na zmianę atmosfery małego miasteczka. To sprawa szeroka, ogólnopolska... Ale to nieprawda. Lekarstwo chyba jest, nie potrafiono tylko go znaleźć w Aleksandrowie — miejscowości europejskiej.

PAWEŁ I GAWEŁ W JEDNYM STALI DOMU...

Paweł ukończył szkołę podstawową i „poszedł do roboty". Znalazł pracę w Aleksandrowskich Zakładach Przemysłu Pończoszniczego. Już po paru miesiącach zarabiał 2 tysiące złotych miesięcznie.

W sobotę wieczorem dźwięczały w ciemnym parku tłuczone butelki, słychać było nader kunsztowne wiązanki przekleństw. Jeśliby ktoś odważył się zgłębić wtedy tajemnice ciemnych alejek, spotkałby tam z pewnością Pawła.

Paweł bowiem był już dorosły. Mógł palić „Sporty", i mówić „cholera" — nie stało nad nim widmo złego stopnia ze sprawowania. Bowiem w społeczeństwie dorosłych nie stawia się stopni ze sprawowania.

Po pracy Paweł wydeptywał bruk na trasie apteka — kino, czytał „Express" i „Karuzelę", palił papierosy i cieszył się życiem.

A co z Gawłem? Gaweł inaczej. Zdał egzamin do aleksandrowskiego liceum. Zgłębiał zawile tajemnice logarytmów, ślęczał nad nudnym Reyem, bał się klasówek i... po trosze zazdrościł Pawłowi. Zazdrościł samodzielności, pieniędzy... któż zresztą wie naprawdę czego? Może i Gaweł nie bardzo wiedział.

A potem przyszła matura i Gaweł niespodzianie stał się człowiekiem dojrzałym, inteligentem. Nie rozpoczął jednak żadnych studiów. Może zabrakło wiedzy na egzaminie wstępnym, może chęci.

Znalazł pracę tam gdzie Paweł pracował już od czterech lat — w AZPP. Ale nie spotkali się. Gaweł został pracownikiem umysłowym (matura) z pensją zasadniczą 350 zł plus 50 proc. premii.

W tym czasie pensja Pawła może już przekroczyła pułap 2 tysięcy.

Wieczorem na aleksandrowskim deptaku można spotkać Pawła i Gawła. Obaj czytają „Karuzelę". Nie różnią się już dziś prawie niczym.

Historia Pawła i Gawła nie jest na pewno odkryciem. Taki już bywa los maturzystów w małych miasteczkach. Dlaczego jednak tak się dzieje? Czyżby to wina atmosfery tego miejsca na ziemi, gdzie świat deskami zabity, a ludzie tyczką słońce popychają?

OPOWIEŚĆ O NAUCZYCIELU

Jako się rzekło na wstępie, edukacją dziatwy aleksandrowskiej zajmują się trzy uczelnie typu podstawowego oraz jedna uczelnia typu średniego. Tak to się w Aleksandrowie nazywa. Dla każdego orientującego się jako tako w strukturze instytucji państwowych jasne jest, iż uczelnie owe posiadają danych przez Boga i Wydział Oświaty kierowników. Jednym z nich był pan, nazwijmy go Igrek. Od tego miejsca zaczyna się niezgłębiona, rajska dziedzina plotki.

O panu Igreku można było powiedzieć dosłownie wszystko. Jedni mówią, że odznaczał się nieszczególną solidnością w prowadzeniu spraw finansowych. Czasem jakiś podpis się podrobiło, czasem przepadły stypendia dla dzieci, czasem nadwyżka z funduszu komitetu rodzicielskiego. Sumy niewielkie — 200, 300 zł, rzadziej więcej. Od miesięcy, lat... Podobno to ten Igrek tak nabroił.

Sprawa powędrowała do Wydziału Oświaty. Przesłuchiwano świadków, roztrząsano, badano. W końcu, acz niechętnie, oddano sprawę w ręce prokuratora.

Mówi się ostatnio w Aleksandrowie, że prokurator umorzył sprawę, że p. Igrek (zawieszony od lutego w czynnościach) wróci z początkiem roku do pracy, że może nawet zostanie znów kierownikiem szkoły.

Obrońcy p. Igreka głośno twierdzą, że „przecież nic się właściwie nie stało", że „niepotrzebnie tyle szumu", skoro prokurator sprawę umorzył. Być może — Igrek jest uczciwym człowiekiem. Nie moja rzecz sądzić te sprawy. Przeraża mnie jednak myśl, że przytoczone pogłoski, małomiasteczkowe ploty, sprzeczne, niesprawdzone, poniewierają autorytetem nauczyciela w ogóle, tworzą szkodliwy klimat wychowawczy. Plotka, może w jakiejś części słuszna, bywa najczęściej niesprawiedliwa, a nade wszystko — uogólnia, czyni krzywdę wszystkim wychowawcom, stwarza wokół nich aurę nieufności, łamie autorytet, bez którego wszelkie wychowanie nie jest możliwe.

PATRZ KOŚCIUSZKO...

Gdzieś około roku 1920 stanął w Aleksandrowie pomnik Tadeusza Kościuszki. Potem przyszła wojna, pomnik zniszczono.

A dziś? Dziś w ramach decentralizacji radni naszej miejscowości europejskiej postanowili wspólnym wysiłkiem mieszkańców odbudować zniszczony przez okupanta pomnik naczelnika.

Zupełnie słusznie. Będzie Łódź miała swojego Kościuszkę, może mieć i Aleksandrów. Zebrano pieniądze, postawiono postument, ...mobilizuje się opinię i gotówkę.

Bardzo to piękne, ale... w ciągu kilkunastu lat wybudowano w Aleksandrowie 2 (słownie: dwa) bloki mieszkalne. Budowa szkoły trwa już... nikt zresztą nie pamięta kiedy urządzono pierwszą kwestę uliczną na ten cel. W każdym bądź razie bardzo dawno.

Nie starczyłoby zapewne palców u rąk i nóg wszystkich aleksandrowskich radnych, gdyby policzyć chciano, ile walących się ruder wymaga kapitalnego remontu, ile rodzin mieszka w warunkach gorzej niż opłakanych. Zresztą są to przecież sprawy ogólnie znane nie tylko w Aleksandrowie. To problem ogólnopolski, prawda?

Jak wieść gminna głosi, koszt budowy pomnika przekraczać będzie grubo milion złotych. Milion złotych polskich. Nie wiem, ile kosztuje budowa nowego bloku. Też chyba niewiele więcej.

W lutym br. w przeddzień wyborów do rad narodowych na budynku Prezydium Miejskiej Rady Narodowej wywieszono transparent: „Wybieramy mądrych gospodarzy terenu".

* * *

Drogi Czytelniku, czy wiesz, gdzie leży Aleksandrów?

Nie, nie w Białostockiem, nie w Rzeszowskiem, nie na krańcach Polski. Aleksandrów znajduje się zaledwie 6 kilometrów od granic administracyjnych Wielkiej Łodzi. Tramwaj oznaczony nr 44 pokonuje odległość dzielącą rynek aleksandrowski od Bałut w... 23 minuty.

Dwadzieścia trzy minuty, a tak daleko!

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

Rozmaitości staropolskie

albo

szóste przykazanie

Nie cudzołóż

Zdaniem historyków, nie wiadomo z naukową pewnością, jak się przedstawiała sprawa kary za cudzołóstwo u dawnych Słowian. Ze wzmianek różnych kronikarzy na ten temat można jednak sądzić, że kobiety, zwłaszcza niezamężne, w okresie wspólnoty pierwotnej, cieszyły się, na ogół, dużą swobodą w dziedzinie seksualnej, a i po zamążpójściu nie były jeszcze traktowane jako własność mężczyzny.

W „Relacji Ibrahima ibn Jakuba z podróży do krajów słowiańskich" znajdujemy informację, że „kiedy małżonek poślubi dziewczynę i znajdzie ją dziewicą, mówi do niej: „Gdyby było w tobie coś dobrego, byliby cię pokochali mężczyźni, i z pewnością wybrałabyś sobie kogoś, kto by wziął twoje dziewictwo". Potem ją odsyła i uwalnia się od niej".

Z rozkładem wspólnoty pierwotnej iprzejściem do ustroju feudalnego zmienia się również stosunek do kobiet. Żona staje się przedmiotem prawa (jak rzecz), jest przez prawo chroniona i traktowana jako własność męża. Daje się to zauważyć szczególnie u możnych i u książąt, w rodzinach panujących, gdzie występowała nawet poligamia.

Podróżujący w X wieku po krajach Słowiańszczyzny wspomniany wędrowiec z Hiszpanii arabskiej Ibrahim ibn Jakub pisząc o swobodzie seksualnej kobiet dodawał jednocześnie, że władcy słowiańscy trzymali swoje żony w zamknięciach jak w haremach.

Wiadomość ta znajdowałaby potwierdzenie w tym, co pisał również nasz Gall Anonim w swej „Kronice", że pierwszy historyczny władca Polski kneź Mieszko I „wedle zwyczaju siedmiu żon zażywał".

Wśród szerokich mas Słowian natomiast poligamia prawdopodobnie jednak nie przyjęła się.

Wiadomości o karach za cudzołóstwo w tamtych czasach są szczupłe i niepewne oraz kwestionowane przez historyków.

Kronikarz niemiecki Thietmar, na przykład, podaje, że cudzołożnikowi przybijano jądra do deski i wręczano nóż z propozycją kastracji lub samobójstwa. Jakkolwiek wydaje się to prawdopodobne ze względu na charakterystyczne dla tamtych czasów okrucieństwo i nieubłaganą surowość, cechujące naszych prapradziadów, to jednak historycy wysuwają różne zastrzeżenia co do prawdziwości tej Thietmarowskiej informacji.

Wprowadzenie chrześcijaństwa złagodziło surowość pierwotnych obyczajów i w tej dziedzinie. Ale właśnie — jak pisze prof. Bohdan Baranowski w interesującym studium o „Sprawach obyczajowych w sądownictwie wiejskim w XVII i XVIII wieku w Polsce" — względnie łagodne kary prawa kanonicznego za adulterium, które i tak nie zawsze były wprowadzane w życie, nie mogły odstraszyć ludzi od wykroczeń tego rodzaju.

Sytuacja ulega radykalnej zmianie w XVI stuleciu, kiedy chłop zostaje przypisany do ziemi („glebae adscripti"), przypisany, a raczej — przywiązany, i jego właścicielowi — dziedzicowi zależy na posiadaniu jak największej ilości rąk do pracy. Wtedy również występuje na widownię pańska „troska" o moralność poddanego.

Z surowym potępieniem grzeszników łamiących nakaz szóstego przykazania, występują znakomici nasi pisarze renesansowi, zarówno Mikołaj Rej, jak i Andrzej Frycz Modrzewski. Pierwszy z nich przypomniał, że w starożytności „wszeteczne niewiasty za karę obwożono na ośle i obrzucano błotem. O, siłaż by teraz po te czasy oślic trzeba, a snadź i krowy ledwie by temu nastarczyły!" — wykrzykiwał z rubasznym humorem ojciec literatury polskiej.

Frycz Modrzewski zaś stwierdzał kategorycznie, że „używanie wenusa człowiekowi chrześcijańskiemu okrom małżeństwa zakazane jest".

Z upływem lat sprawy o adulterium i inne wykroczenia przeciwko moralności na tle seksualnym przeszły spod jurysdykcji sądów kościelnych do kompetencji sądów miejskich i wiejskich.

Historycy zastanawiali się, dlaczego władze kościelne, i to w okresie najwyższego nasilenia kontrreformacji i rządów na Wawelu ojców jezuitów, zgodziły się na uszczuplenie i wyjęcie spod ich kompetencji przestępstw o cudzołóstwo, bluźnierstwo, czary itp. Wytłumaczenia szuka się w tym, że Kościół nie chciał ściągać na siebie oburzenia z powodu surowych wyroków, jakie należało stosować za wymienione przestępstwa, i wolał wyręczać się pozostającymi pod jego wpływami sądami świeckimi czyli działać z ukrycia.

Magnaci pozwalając sobie na słodkie grzeszki w stosunkach pozamałżeńskich ciskali jednak gromy na swych poddanych, „niecnych amoratów", grzeszących przeciwko szóstemu przykazaniu, gdyż uważali się za odpowiedzialnych za ich dusze, które chcieli ustrzec „przed ogniem piekielnym". Stosowali też bardzo surowe sankcje.

Znane były trzy rodzaje kar za cudzołóstwo: kary cielesne czyli plagi, albo pozbawienie wolności; kary hańbiące czyli publiczna pokuta kościelna, obcięcie włosów, wypędzenie z miasta, usunięcie z cechu i pozbawienie praw piastowania godności i zaszczytów publicznych, oraz — kary pieniężne.

Kary był zresztą urozmaicane zależnie od pomysłowości sędziów. W Sandomierzu, na przykład, dziewczynę, oskarżoną o grzech cudzołóstwa lub wszeteczeństwo, zamykano w drewniany kaftan, stawiano pod pręgierz, a następnie kat obcinał jej włosy.

G. Mucante, sekretarz kardynała Gaetano podróżujący po Polsce w roku 1597 opisał oryginalny sposób karania wiarołomnej żony! Oddajmy mu głos: „Dnia tego (31 marca 1597) stanęliśmy w Kurzelowie w dobrach księcia prymasa. W tym miejscu widziałem rzecz, jakiej jeszcze w życiu moim nie widziałem. Było to potężne wiadro mogące pomieścić człowieka. Wiadro to zawieszono nad wodą. Sznurem przywiązane było do tyczki czyli żurawia. W to wiadro wsadzono nierządnicę dając jej nóż w rękę. Ta, jeżeli nie chciała wisieć wiecznie, urzynała nożem ów powróz i wpadała do wody w sadzawkę lub jezioro — tak jednak, iż tylko wziąwszy dobrą kąpiel utopić się nie mogła".

Tu zresztą — jak pisze prof. Baranowski — leżała tajemnica popularności tych wszystkich kar publicznych, jakimi aż nazbyt szczodrze wtedy szafowano. Pręgierz, kuna, „biskup", gąsior, klatka itp. przyciągały tłumy żądnej wrażeń gawiedzi naigrawającej się ze skazańca. Każdorazowa egzekucja była wspaniałym widowiskiem dla całej okolicy.

Poza magnaterią i bardziej wyrafinowaną na książęcych dworach rzeszą dworaków łamanie wiary małżeńskiej w społeczności średniej szlachty należało w XVII stuleciu do rzadkości. Dopiero XVIII wiek staje się teatrem jawnych, skandalicznych, głośnych na cały kraj trójkątów małżeńskich, oficjalnych cicisbeo (kochanków), a nawet w pewnym sensie apoteozą zdrady małżeńskiej. Ale o tym w innym felietonie.

— Ja nie mogę!!!

— Psiakrew, zepsuł nam cały plan urlopów!...

Najostrzejsze ołówki świata

PETER ARNO *albo* tematy „z gazety"

Trudno w jednym zdaniu zdefiniować gatunek humoru i zainteresowań amerykańskiego rysownika. Bo to i po trosze satyryk i miłośnik czystego nonsensu. Drwi — ale nie jest moralistą, uprawia żarty absurdalne — ale pozostaje łatwo zrozumiany, komiczną pointę podsuwa „na talerzu". Najlepiej ilustrują tę różnorodność załączone rysunki, celowo dobrane, by wykazać możliwie szeroki wachlarz upodobań Pater Arno.

Na upartego można zresztą przyczepić mu zwięzłą etykietkę: kronikarz. Określenie trochę ogólnikowe, lecz musi w tych krótkich rozważaniach wystarczyć...

Zwróćmy uwagę: dowcipy Peter Arno są silnie związane z rzeczywistością Ameryki. Potwierdza to sam sposób rysowania, wyraźne nakreślenie tła, realiów, rekwizytów. Kiedy Arno rysuje samochód, przedstawia najczęściej jakiś określony model wozu. Ludzie są ubrani (albo rozebrani) zgodnie z aktualną modą, zgodnie z obyczajami danej kasty.

Lecz nie tylko owe realia są tu charakterystyczne. Ważniejszą sprawą jest tematyka rysunków. Widać wyraźnie, że Arno nie koncypuje tematów, a chwyta je na gorąco, można powiedzieć „z gazety". Przeważają więc anegdoty, tak typowe dla zainteresowań prasy USA — a więc napady rabunkowe, uprowadzenia, katastrofy itp. Często sięga Arno i do polityki -

Także bohaterowie tych rysunków są wyraźnie określeni. Najczęściej żarty dotyczą ludzi z wyższych sfer, „high life'u", przedstawianych z akcentem drwiny. Przeważnie polega to na postawieniu owych dystyngowanych osobistości w kłopotliwej sytuacji, o krok od kompromitacji...

Arno rozpoczynał przed wojną swoją karierę jako autor standardowych rysunków modeli i reklam w żurnalach mody. Potem przestawił się wyłącznie na tworzenie żartów i związał się z „New Yorkerem". W tym piśmie pozostaje do dziś jednym z czołowych współpracowników.

J. W.

— To chyba pomyłka! Nazywam się Edmund J. Murchison z 222 Morton Street!...

— Siedzi się dość wygodnie — o ile kiedykolwiek stąd zejdziemy...

— Na pomoc!

Redaguje zespół. Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka"
Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-79
Warunki prenumeraty: miesięcznie 4,— zł, kwartalnie 12,— zł
Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca
Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — Łódź, ul. Roosevelta 17. Konto PKO — Łódź 7 — 6-579
z zaznaczeniem na „Odgłosy"
Druk. RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Z. 2551. VIII. 58. M-4.

Grzeczne psy—mile widziane

LUNAPARK

Nr 5. 1. IX. 58 Rok I

Za teksty pomieszczone w niniejszej rubryce redakcja odpowiada, ale nie płaci.

CZY ZGŁOSIŁAS JUŻ SWOJĄ PROPOZYCJĘ W ZWIĄZKU Z WYBOREM „MISS LUNAPARK 58"? PAMIĘTAJ, ŻE CZEKAMY NA TWÓJ LIST.

„LUNAPARK" SWOIM CZYTELNIKOM

Lunapark przedstawia poniżej aktualny cennik pojazdów mechanicznych. Cennik można wyciąć i powiesić na ścianie *).

M 21 Wołga	125.000 zł
Simca Aronde de Luxe	125.000 zł
Moskwicz 402 siln. górnozaw.	110.000 zł
Moskwicz 402 siln. dlnzaw.	105.000 zł
Skoda 440	95.000 zł
Fiat 600 Multipla	82.000 zł
Awe 311 Wartburg	75.000 zł
P-70 Zwickau Kombi	74.000 zł
Fiat-600	72.000 zł
P-70 Zwickau	65.000 zł
FSO-Warszawa sam. dost. odkr	115.000 zł
FSO-Warszawa	120.000 zł
FSO-Syrena	72.000 zł
Mikrus 300	50.000 zł
M-72 z przyczepą	32 000 zł
Jawa Cz-350	27.000 zł
Awa Sport 250	24.000 zł
MZ ES-250	24 000 zł
Jawa Cz-250	24.000 zł
Awo-250	23.000 zł
Peugeot S-157B	23.000 zł
Ifa BK-350	22.000 zł
Lambretta ld-150	22.000 zł
IŻ-350	20.000 zł
Csepel Pannonia 250	19.000 zł
Jawa Cz-175	18.000 zł
MZ RT-125	13.000 zł
Fis 500 (wyk. eksp.)	41.870 zł
Fis 500 (żużl.)	23.150 zł
Junak 350 M-07	24.000 zł
Osa 150 M-50	19.000 zł
SHL-150 M-06	14.000 zł
WFM M-06	7.040 zł
WSK M-06	6.728 zł
moped SR-2	6.500 zł

*) W trosce, żeby samopoczucie Czytelników polepszało się w miarę zapoznawania powyższego cennika — poszczególne pozycje zostały ustawione w odpowiedniej kolejności.

Z PRASY

„POBIEDA"— EKSPONATEM MUZEALNYM

Z taśmy montażowej Zakładów Samochodowych w Gorkim zszedł ostatni samochód marki „Pobieda". Wozy te produkowano od roku 1946. Na prośbę załogi ostatnia „Pobieda" pozostanie na zawsze w fabryce jako eksponat. Obecnie fabryka przestawia się na produkcję samochodów marki „Wołga".

(„Głos Robotniczy", 29 sierpnia 58)

Jak wiadomo samochód m-ki „Warszawa", będący nieznacznie zmodernizowaną siostrą „Pobiedy" — jest najnowocześniejszym wozem produkowanym obecnie w Polsce.

KOLPORTAŻ ZAWIÓDŁ

W „Dzienniku Łódzkim" w dniu 27.VIII ukazał się był felieton Jana Koprowskiego pt. „Żywi i umarli czytajcie". Podobno „Ruch" przez zwykłe roztargnienie zawiódł w pełni na odcinku kolportażu i rzecz nie została rozprowadzona po okolicznych cmentarzach.

Słusznie rozgoryczonemu autorowi — w tej ciężkiej dlań chwili — podajemy współczującą dłoń.

„Lunapark" — tygodnik społeczno-kulturalny o szerokich zainteresowaniach. Redaguje Kolegium. Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Listy prosimy adresować: „Odgłosy" z adnotacją — „dla Lunaparku".

Z cyklu:

EROTYZM W PROZIE

Przed gankiem stała gniada czwórka ruczajewska. Ze sanek służący i strzelec Jur wyjmowali futro na nogi.

Stefcia podniosła obie ręce do rozpalonego czoła.

— On tu!... Waldy w Ruczajewie! — wołało w jej duszy.

W sieni słyszała głos ojca, ale kiedy zaraz potem rozległ się dźwięczny baryton Waldemara, zapłonęła falą szczęścia. Radość bezmierna buchnęła w niej płomieniem. Biegła do drzwi, kiedy wszedł w nie ordynat z błyskiem w oczach, zapalonym na jej widok.

Pan Rudecki dyskretnie cofnął się.

— Moja! moja! — wykrzyknął ordynat, chwytając narzeczoną w ramiona.

Stefcia oparła głowę na jego piersiach, bezprzytomna z nadmiaru uczuć.

Waldemara ogarnął szał.

(Helena Mniszek „Trędowata")

LUNAPARK RADZI SZCZUPŁYM

Co mają robić szczupli, jeśli chcą utyć? O, to bardzo proste. Wystarczy wyciąć z 696 numeru „Przekroju" książeczkę „Twoja waga, Twoje zdrowie" i postępować dokładnie wbrew wskazaniom dr Leonharda K. Hirshberga.

Życzymy pomyślnych rezultatów.

SWAWOLNE ROZRYWKI UMYSŁOWE

POJAZD POPULARNY

Z niżej podanych wzorów (patrz rysunek) wybierz wehikuł najbardziej przez Ciebie pożądany i wykonaj go w skali 1000:1. Uzyskasz lekki, wygodny, ekonomiczny pojazd, niezastąpiony w komunikacji międzypowiatowej.

WOLNE MIASTO

Jest to film nakręcony w Zespole Autorów Filmowych „Rytm" przez reżysera Stanisława Różewicza według scenariusza Jana Józefa Szczepańskiego. Zdjęcia wykonał Władysław Forbert, muzykę napisał Andrzej Dobrowolski, a kierownictwo produkcji spoczywało w rękach Włodzimierza Śliwińskiego. Film wykonany został w rekordowym — jak na warunki krajowe — czasie i wchodzi na ekrany w rocznicę wypadków tragicznego września 1939 roku. Tematyka filmu oparta jest o wydarzenia dziś już historyczne dotyczy bowiem obrony poczty gdańskiej (stąd uprzedni, tymczasowy tytuł filmu).

Recenzję z filmu „Wolne Miasto" zamieścimy w numerze następnym

Uwagi przed premierą

Wyznania hochsztaplera Feliksa Krulla

W filmie „Wyznania hochsztaplera Feliksa Krulla" — sygnalizują swoją obecność wszystkie bez mała cechy niedobrej adaptacji. Film zatracił klimat powieści Manna, a więc wszystko, co decydowało o jej uroku. Pozostały jedynie pilnie odnotowane wątki erotyczne, przeniesione na ekran z pietyzmem dla Mannowskich realiów, ale za to bez smaku i umiaru. W sumie podczas projekcji uparcie towarzyszyło mi wrażenie, że pospołu z autorem pierwowzoru literackiego działał scenarzysta grafoman, który co mógł — popsuł, a gdzie tylko mógł — tam podopisywał bzdury. Popsuciem nazwać trzeba naiwniutkie preteksty do zawiązywania narracji, powtykane na siłę i niepotrzebne. Oto Stanko, po rozstaniu z Feliksem pojawia się raz jeszcze, żeby wysłuchać opowiadania, co to się z bohaterem nie działo. Potem Feliks w więzieniu znów opowiada, tym razem prof. Kukulce, historię swojego romansu z jego żoną i córką. Itd. Nadmiar tych niedorzecznych scen nie zdołał rozepchnąć czasu filmowego, który swoim zwyczajem mija nieubłaganie i wreszcie dla autentycznych, Mannowskich sytuacji pozostaje bardzo mało miejsca.

Jak wiadomo, powieść Tomasza Manna jest utworem niedokończonym. Ten drobny szkopuł nie peszył scenarzysty, który dopisał zręczne swoim zdaniem zakończenie, upstrzone wstawkami filozoficznymi (tak!) na chybił trafił powybieranymi z powieści. W tym filmowym zakończeniu hochsztapler czyni cuda, udaje nawet trupa i wreszcie — żeby było dowcipniej, u boku Zazy wyjeżdża w podróż dookoła świata. Uprzednio cuda czynił reżyser. Pozmieniał co mu się nie podobało w pierwowzorze, nie wahając się przy podejmowaniu dosyć zasadniczych kroków. I tak na przykład autentyczny markiz Venosta (junior) nie jest w filmie przyjacielem Feliksa, ale jego antagonistą. Dość powiedzieć, że do odbycia podróży zmusza on go przy pomocy rewolweru(!). Ale wszystkie reżyserskie i scenariuszowe dziwactwa „Wyznań" pozostają w tyle, za wyznaniami redaktorów „Wiadomości Filmowych" (Nr 33). Piszą, że... „reżyserowi udało się przenieść inny (uprzednio była mowa o intrydze, przyp. moje, Etl.) obok filozoficznego podtekst książki: czającą się w jej wnętrzu ironię i drwinę". Tak bywa, gdy pisze się systemem „w ciemno", bez kłopotliwego, półtoragodzinnego poznawania filmu. Autor rzeczy w „Wiadomościach Filmowych" po dwakroć zdradza, że nie widział obrazu. Raz, gdy pisze (zaufawszy Mannowskiemu tekstowi), że Feliks Krull odmawia lordowi Klimarnockowi, starszemu panu o bryłowatym nochalu. Tu zguba. Bryłowaty nochal był tylko w książce. W filmie nie pozostało po nim śladu. Lord jest estetyczny.

Ciekawiej jednak wygląda następna wpadka. „Wiadomości" piszą: „Dwa słowa o aktorkach: piękne i dobre". W rzeczywistości są one brzydkie i złe. Sprawozdawca nie powinien zbytnio ufać przypuszczeniom. Czy nie wygodniej było napisać choćby tak: Za kilka dni wchodzi na ekrany film pod tytułem „Wyznania hochsztaplera Feliksa Krulla". Niestety, przedstawiciel „Wiadomości Filmowych" nie zdołał zobaczyć obrazu, wstrzymuje się więc od wydawania opinii o nim. Ponieważ jednakowoż Centrala Wynajmu Filmów, subsydiująca periodyk, żąda reklamy, przeto podajemy wam garść informacji i kilka fotosów, które nam wpadły w ręce. Itd.

W sprawozdaniu z tego filmu niesposób jednak pominąć postaci „niemieckiego Gerarda Philippe'a" — H. Buchholza, aktora o temperamencie raczej scenicznym i prowincjonalnych „gierkach", które raziłyby nas nawet na scenie Teatru Ziemi Łódzkiej, gdzie czasem te rzeczy się spotyka. Przyznanie aktorowi dyplomu honorowego w Karlovych Varach potwierdza opinię, którą ten festiwal wyrobił sobie za pomocą wieloletniej tradycji.

EDWARD ETLER

Uwaga Czytelnicy:

Zwracamy się do Was z następującym pytaniem: jak oceniacie prowadzony przez nas zwyczaj recenzowania filmu przed jego premierą? Czekamy na Wasze listy. Najciekawsze z nich będą publikowane i honorowane wg obowiązujących stawek.

Mieszanka FILMOWA

Białe Myszki

ANONIM WIESZA FORDA

Ktoś napisał (anonimowo) recenzję z „Historii jednego myśliwca" i tolerancyjny „Dziennik Łódzki" pomieścił ją na swych łamach w dniu 27 sierpnia br. Autor anonimu trafnie zauważa, że film Huberta Drapelli jest zły, ale niestety — jak wynika z treści wypracowania — autor nie wie dlaczego. Czytamy za to przepis na dzieło w pełni udane.

„Każda opowieść musi mieć jednolity, zwarty wątek, prowadzący konsekwentnie akcję od ekspozycji aż po epilog".

Studwudziestowierszowe opowiadanie anonima o filmie „Historia jednego myśliwca" ma kilka chaotycznych wątków, ale jeden epilog. W epilogu znajdujemy donos. Oto filmem opiekował się Aleksander Ford, a jego nazwiska w czołówce filmu nie ma. Skandal! — zdaje się wołać podtekst końcowych uwag anonima.

Skandal? Bynajmniej. Już dawno Białe Myszki miały w zamiarze poczynić uwagę, że wypisywanie nazwisk opiekunów artystycznych w czołówkach filmowych jest pomysłem nie z tej planety, albo przynajmniej — pomysłem pożyczonym z innej części globu. Poza tym skończmy wreszcie z pretensjami do opiekunów. Gotowi jeszcze obrazić się i trzy razy pomyśleć nim w przyszłości zdecydują się na poparcie debiutu. Wtedy będzie gorzej. A zresztą, to nie Aleksander Ford jest winien, że Bozia nie obdarzyła jego podopiecznego sumą przesadnych wiadomości. Znając założenia scenariusza — zarówno szlachetne idee jak i nazwiska autorów pomysłu, zapotrzebowanie, osobę debiutanta itp. — nawet odnośnie Święty Pański wydałby swoją akceptację przypuszczając, że będzie to dobry i potrzebny film. Jasnowidzów — instytucja naszej kinematografii niestety na etacie jeszcze nie posiada.

EKRANIK ★ EKRANIK ★ EKRANIK ★ EKRANIK ★ EKRANIK ★

GINA SIĘ ODMŁADZA

Znakomity reżyser francuski (amerykańskiego pochodzenia), Jules Dassin — przystąpił do filmowej adaptacji znanej powieści Roger Vailland pt. „Prawo", która otrzymała nagrodę Goncourtów za 1957 rok. W trakcie przeróbki powieść uległa pewnym zmianom. Dotyczy to przede wszystkim zakończenia i postaci głównej bohaterki Marietty. Książka Vaillanda kończy się wyjątkowo pesymistycznie i beznadziejnie, natomiast film zostanie ukoronowany małżeństwem sympatycznej pary „pozytywnych" bohaterów: młodego agronoma i uroczej Marietty. Ta ostatnia liczyła sobie lat 15, lecz ponieważ jej filmowe wcielenie, „boska" Gina Lollobrigida ma akurat 2 razy tyle wiosen, trzeba więc było znów coś niecoś zmienić. Mariecie dodano parę latek, a Ginę, przy pomocy odpowiedniego maquillage'u starannie odmłodzono. „Prawie" będzie ona więc wyglądała niemal identycznie jak popularna „bersaliera" z „Chleba, miłości i fantazji". Strapionym obrońcom nietykalności literatury, śpieszymy donieść, że wszystkich przeróbek tekstu powieści dokonano przy współpracy samego autora, który jest współtwórcą scenariusza. Obecnie ekipa realizatorska filmu przebywa już w malowniczej miejscowości Rodi-Garganico, w okolicach Foggii, na południu Włoch. W pozostałych rolach ujrzymy naszych starych a miłych znajomych: Marcello Mastroianni („Bigamista", „Ulica Ubogich Kochanków", „Dziewczęta z Placu Hiszpańskiego") kreuje postać młodego agronoma. Yoes Montand będzie „czarnym" charakterem, despotycznym kacykiem, który żelazną ręką trzyma w karbach całą okolicę, narzucając jej własne prawa. Jedynie sprytna i śliczna Marietta wyrwie się z drapieżnych rąk miejscowego tyrana.

SKAT

Za tydzień nasza ankieta:

Dlaczego nie chodzisz do kina?

UWAGI O REPERTUARZE

Repertuar kinowy dzieli się na przechwałki i realia. Rzeczą przechwałek jest ściągnąć ludzi do kina, a rzeczą realiów nie dopuścić do zbyt szybkiego opuszczenia przez nich senansu. Słowem ambicją repertuaru jest zachowanie kompromisu między możliwościami a ideą. Aktualny repertuar łódzkich kin — niestety — nie wzbudza w obserwatorach entuzjazmu.

„Czarownice z Salem" to duża premiera, ale zarazem — film trudny. „Historia jednego myśliwca" to na odmianę film łatwy, hm, nawet za bardzo, coś niecoś już o tym pisaliśmy. To już dwie premiery. Obok filmy mniej lub bardziej ograne: wciąż atrakcyjne „Widmo", „Wakacje sycylijskie", „Lecą żurawie", „Folies Bergere", dalej filmy zdecydowanie kiepskie, wręcz nie do zniesienia nie wiadomo przez kogo i po co zakupione. Myślę tu przede wszystkim o „Dziewczętach z Immenhofu". Naprawdę, trudno ten film przecierpieć do końca. Ale zaraz pocieszające zjawisko: oto wcale nieźle trzymają się „Noce Cabirii" Felliniego. Okazuje się, że wbrew zakorzenionej opinii film artystyczny może cieszyć się wyraźną sympatią widowni. Za pozostawienie tego obrazu na ekranach należą się oklaski Centrali Wynajmu Filmów i Okręgowemu Zarządowi Kin.

Rozglądając się za pozycjami, na których można by wysiedzieć — znajdujemy jeszcze „Siedmiu złodziei". Nie jest to obraz o zbytnich walorach artystycznych, ale u schyłku lata zbyt wiele nie zwykliśmy wymagać od kina, a salwy śmiechu huczące na sali mogą niejedno wynagrodzić. W każdym razie nie ulega wątpliwości: „Wolne miasto" — jako premiera — znalazł się na czasie. Ten film nie ma — jak wynika z powyższych uwag — poważniejszej konkurencji, a fakt, że ukazał się z początkiem września, w rocznicę wybuchu wojny, stanowi o jego dodatkowym handicapie. Słowem — gdyby Bozia dała jeszcze kilka takich repertuarów, to moglibyśmy przypuszczać, że nasza (znajdująca się w przygotowaniu) ankieta „Dlaczego nie chodzisz do kina" cieszyć się będzie niebywałym powodzeniem.

METODY